



Wojewódzki Konkurs Literacki



# Rok w Polsce

Kobiety w Centrum, Oddział Kujawsko-Pomorski  
2023

## Cel konkursu

24 lutego 2022 r. rozpoczęła się wojna w Ukrainie. Kilka milionów obywaterek i obywateli Ukrainy musiało uciekać z kraju przed rosyjską agresją, świstem kul, hukami bomb. Większość z nich zatrzymała się w Polsce i tu znalazła schronienie, także w województwie kujawsko-pomorskim. Konkurs ma być próbą odpowiedzi na pytanie jak przeżyli ten trudny czas, jak wygląda ich obecne życie. Jak się żyje wśród Polaków, tu, w naszym województwie? Jaka jest codzienność emigranta? Co cieszy, smuci, zastanawia, denerwuje, zaskakuje? Czego najbardziej brakuje, a co wywołuje uśmiech na twarzy?

## Organizator

Stowarzyszenie Kobiety w Centrum, Oddział Kujawsko-Pomorski



## Sponsor konkursu

Mondi Świecie



## Patronat:

Fundacja EMIC, Toruń



**Redaktor prowadząca i tłumaczenie tekstów:** Jolanta Piekarska

**Redakcja i projekt strony tytułowej:** Agnieszka Niwińska - [aniwinska@wp.pl](mailto:aniwinska@wp.pl)

**Ilustracje:** Prace laureatów konkursu plastycznego „Przyjaźń. Pokój. Wolność” organizowanego przez Szkołę Podstawową w Osiu w ramach Dni Kultury i Sztuki w Osiu.

**Fotografie:** Andrii Savka - [jongl2672@gmail.com](mailto:jongl2672@gmail.com)

## Jury:

**dr inż. Agnieszka Kłopotek** – wiceprzewodnicząca Sejmiku Województwa Kujawsko-Pomorskiego, członkini zarządu stowarzyszenia Kobiety w Centrum,

**dr n. hum. Jolanta Piekarska** – językoznawczyni, nauczycielka języka polskiego jako obcego, członkini stowarzyszenia Kobiety w Centrum,

**Alona Stepaniuk** – Ukrainka mieszkająca od 5 lat w Polsce, członkini stowarzyszenia Kobiety w Centrum,

**Wiesław Piekarski** – doradca zawodowy w Fundacji EMIC,

**Mateusz Karolewski** – psycholog społeczny w Nadwiślańskim Centrum Zdrowia Psychicznego „Empatia”.

### Laureaci:

1. **miejsce** Natalia Filkova
2. **miejsce** Olenka Malenko  
Natalia Verbytskaya
3. **miejsce** Yana Shishkina

### Wyróżnienia:

Czasza Debukina, Lidiia Zinchenko, Vita Kuz'mins'ka,  
Olena Chernyshova, Ol'ha Terekhova, Mariia Pavlenko,  
Igor, Yana, Oleksandra<sup>1</sup>

### Słowo od Jury

Jury pragnie podkreślić, że wszystkie przeczytane prace zasługują na najwyższe wyróżnienie. Prace ukazują losy ludzi wiodących całkiem normalne, często zupełnie różne od siebie życie, których w pewnym momencie połączył wspólny mianownik – konieczność ucieczki z ukochanego kraju, ze swojej ojczyzny w obliczu wojny i zagrożenia czającego się za rogiem. Autorzy opisują swoje traumatyczne przeżycia wojenne, a potem trud życia w Polsce i próby odnalezienia się w nowej rzeczywistości, ale też dzielą się swoimi przemyśleniami i zdradzają swoje marzenia. W pracach wielu autorów wyrażona jest ogromna wdzięczność dla Polek i Polaków za wsparcie i dobre serce. Z niemal każdej pracy wyciera tęsknota za ukochaną ojczyzną, za najbliższymi oraz głęboka wiara w zwycięstwo Ukrainy.

Wybór najlepszych prac był bardzo trudny, o czym świadczyć może fakt, że każda praca została doceniona przez przynajmniej jednego jurora. Nagrodzono te, które wywołały w jurorach największe emocje.

Jury stwierdza, że **wszystkie prace, ze względu na ich walor informacyjny i edukacyjny oraz ogromny ładunek emocjonalny powinny zostać wydane w publikacji zwartej** i przekazane szkołom oraz innym instytucjom, które na co dzień mają kontakt z Ukraińcami.

Niniejsza publikacja jest realizacją sugestii jury.

---

<sup>1</sup> W kilku przypadkach – na prośbę autorów – podajemy pseudonimy lub tylko imiona.

# Natalia Filkova

## Minął rok



Często wspominam ostatnie dni „DO” – pamiętam, jak zima powoli zaczęła ustępować ze swoich pozycji, a wiosna wzięła ziemię w ramiona. W ogródku kwiatowym w pobliżu domu zakwitły pierwsze kwiaty: tulipany, żonkile. No i przebiśniegi. Niby takie bezbronne i malutkie, ale w rzeczywistości silne

i nieustraszone. Podziwiałam je każdego dnia i nie mogłam się doczekać, kiedy wiosna w pełni przejmie władzę, a ziemia obudzi się z zimowego snu. Na parapecie zakiełkowały już petunie, pierwiosnki, portulaka. Nabierały sił, żeby wraz z nadejściem ciepła można było rozsady wysadzić, i żeby jak najszybciej kwiaty zaczęły zachwycać przechodniów pięknymi kolorami. Czułam się szczęśliwa.

Prawda, martwiłam się wiadomościami, czasami miałam niepokojące sny. Do ostatniej chwili chciałam jednak wierzyć, że nic nie przeszkodzi mojemu szczęściu, choć zdecydowanie czułam, że będzie wojna. Jakieś dwa tygodnie przed rozpoczęciem inwazji nie spałam, złe przecucia obudziły mnie w środku nocy i nie pozwoliły zasnąć aż do rana. Ale powiem otwarcie – ani przez chwilę nie myślałam dokąd uciekać, jeśli...

Tego dnia też wstałam wcześniej. Dzieci jeszcze spały, a ja, parząc poranną kawę, zastanawiałam się, w co się ubrać i czy pogoda pozwoli synkowi dojechać na hulajnodze do przedszkola. Głowę zaprzętały mi codzienne poranne myśli, takie, które krążą po zaspanej głowie matki dwójki dzieci na początku roboczego tygodnia.

I wtedy przyszła ona... Głośno waliła w szyby i trzęsła ziemię pod stopami tak mocno, że zamarłam ze strachu. Potem znowu i znowu. Co zaskakujące, dzieci spały słodko jak zwykle.

W mojej głowie pojawiło się wiele znaków zapytania. Wiedziałam, że nie wolno wychodzić z bezpiecznych miejsc, i to, że trzeba ukrywać się w schronach przeciwlotniczych (nie było ich wprawdzie w pobliżu, ale była piwnica). Znałam też zasadę dwóch ścian. Ale nie rozumiałam, co oznacza wojna. Czy po mojej ulicy będą jeździć czołgi, czy samoloty zrzucać bomby na domy, czy też na początku wojny zostaną wystrzelone bomby atomowe? Chodziły mi po głowie różne myśli. Wyobraziłam sobie nawet wielką eksplozję niszczącą wszystko na swojej drodze i różne tego typu rzeczy.

Patrząc na moje dzieci, które wczoraj zasnęły po bajce ze szczęśliwym zakończeniem, nie wiedziałam, czy powinnam je obudzić, czy też, jeśli straszny wybuch nastąpi właśnie teraz, lepiej, by spały i nie czuły nawet odrobiny strachu.

Na szczęście wojny nie zaczynają się od wybuchów nuklearnych. Zadzwoiłam do mojego dyrektora i zapytałam, czy muszę iść do pracy. Ale nikt nic nie wiedział. Napisali z przedszkola, żeby zostawić dzieci w domu. Dziwnie było planować mój pierwszy dzień wojny...

Znalazłam siłę, żeby wytłumaczyć dzieciom, że wojna się zaczęła, ale one nie mają się czego bać, bo nas obronią odważni, silni superbohaterowie – nasi żołnierze. Wystarczy, że będą mnie słuchać, a wszystko będzie dobrze. Dzieci poczuły się bezpieczne. Nie płakały i nie bały się. Całkowicie mi zaufały.

Sobie tak prosto wytłumaczyć nie mogłam. Wiedziałam, że na moich barkach spoczywa odpowiedzialność za dwa małe życia – nie mogłam popełnić błędu. Dlatego dziesiątego dnia wojny, po kolejnym upadku części rakiety gdzieś na pobliską ulicę, podjęłam decyzję o ukryciu moich dzieci w bardziej niezawodnym miejscu niż piwnica – o wywiezieniu ich z Ukrainy. Patrzyłam na mój dom, mój ogród, który czekał na wiosnę i nawet nie podejrzewałam, że tej wiosny nie będzie miał kto o niego zadbać. Moje przebiśniegi... Nie wiedziałam, czy będę mogła wrócić, czy w ogóle będzie do czego wracać. Przypominały mi się filmy o Prypeci.

Smutek we mnie był przytłaczający, ale świadomość, że istnieje zagrożenie życia moich dzieci, brała górę.

Zadzwoiłam na stację kolejową – okazało się, że nie ma biletów na najbliższe dwa tygodnie. Są natomiast pociągi ewakuacyjne, do których trudno się dostać, ale nie jest to niemożliwe. Spakowałam całe życie w dwa dziecięce plecaki i jeden dla dorosłego i wyruszyliśmy w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca.

Nie mieliśmy jasnych planów, ale słyszałam, że są też autobusy ewakuacyjne do Polski. Póki co nie było żadnego. Zrobiło się ciemno.

Około godziny 19.00 nieoczekiwanie na stację wjechał jeden z pociągów ewakuacyjnych (one nie miały rozkładu jazdy, odjeżdżały, gdy tylko zebrała się określona liczba osób). Ktoś krzyknął z przedziału, że mają jeszcze miejsca. Weszliśmy całą grupą do przepelnionego wagonu – było nas razem 16 osób (w tym 7 dzieci). Podróż trwała 16 godzin. Miałam do dyspozycji jedno miejsce – jakieś 30 centymetrów dolnej półki na nas troje. Córka spała na moich plecach, a syn na nogach. Jak przez mgłę pamiętam, jak przesiedliśmy się do autobusu we Lwowie – tam każdy miał swoje miejsce i udało nam się zasnąć. Byłam bardzo zmęczona, więc kiedy pani ze straży granicznej sprawdzała moje dokumenty, przez ponad minutę nie mogła mnie dobudzić. Podejrzewam, że nieźle ją przestraszyłam.

Gdy przekroczyłam granicę, zdałam sobie sprawę, że jesteśmy bezpieczni. Ale wraz z tak długo wyczekiwaną ulgą, jak kamień spadła na moje serce świadomość, że nie ma nas już w domu. Kiedy dotarliśmy do punktu pierwszej pomocy... Nie potrafię nawet znaleźć odpowiednich słów, żeby to opisać. Mnóstwo zdesperowanych, zbolących, wyczerpanych ludzi, a naprzeciw nich wolontariusze, lekarze i ludzie, którym po prostu zależy. Nie wiem skąd brali siły, słowa i emocje, żeby swoim światłem zagłuszyć strach w oczach tych wszystkich ludzi i dodać im wiary – potrafili doradzić, wytłumaczyć, uspokoić. Jeszcze bardziej zaskakujące jest to, że rozmawialiśmy ze sobą w różnych językach.

Podobno w takich chwilach ludzie potrafią rozmawiać swoimi duszami. Dostałam tam więcej, niż się spodziewałam.

Moje dzieci były badane przez lekarza (w czasie nalotów przez 10 dni ukrywaliśmy się w piwnicy i chociaż starałam się ogrzać dzieci grzejnikiem i otulałam je kocami, to i tak zimno odcisnęło swoje piętno na ich samopoczuciu), otrzymały lekarstwa i zabawki. Córka otrzymała miękką lalkę, a syn białą owieczkę. Kochają je i chronią do dziś. Nie wiem, od kogo dostaliśmy te zabawki, ale ktokolwiek je dał, może być pewien, że trafiły w ręce kochających opiekunów. Otrzymaliśmy też środki higieny osobistej, odzież, jedzenie, kawę. Wszystko było tak potrzebne – nie wzięłam w podróż niczego, co mogłoby zająć moje ręce. Ręce musiały być wolne, abym mogła trzymać swoje dzieci. One były najważniejsze.

Jakie to więc było miłe i ważne, że wszystko, co było mi potrzebne, dostałam. Dało mi to poczucie pewności, poczucie, że nie zostanę porzucona, poczucie ogromnego wsparcia. Zjedliśmy pysznie, a potem odebrał nas i jeszcze jedną rodzinę (matkę z dwójką dzieci) pan Oleksandr i pojechaliśmy do Bydgoszczy. Oleksandr jest Ukraińcem mieszkającym w Polsce ponad 10 lat. Powiedział, że zabierze nas w miejsce, w którym moglibyśmy zamieszkać.

Osiem godzin później samochód zatrzymał się w pobliżu bazyliki św. Wincentego a Paulo. Ten budynek prawdopodobnie na zawsze zakotwiczy w mojej pamięci. Gdybym miała stworzyć album ze zdjęciami miasta, bazylika znalazłaby się na stronie tytułowej. Tam zatrzymała się Marina ze swoimi dziećmi. My mieliśmy jechać dalej. Z tego co zrozumiałam, nie mieli jednak jeszcze dla nas domu, więc czekaliśmy w biurze, gdzie zaczęli gromadzić się najbardziej punktualni pracownicy. Czułam się trochę skrępowana, bo każdy, kto przyszedł, również starał się pomóc. Przywieźli nam odzież, artykuły papiernicze, chemię gospodarczą. Nie mogłam niczego odmówić, wiedziałam, że przywozili nam to wszystko ze szczerego serca, tylko dlatego, że czekaliśmy w ich biurze. Po około dwóch godzinach wyjechaliśmy najedzeni, z trzymiesięcznym zapasem środków higienicznych, ubrani na całą wiosnę i gotowi do szkoły (choć do szkoły zostało jeszcze pół roku :)).

Zamieszkaliśmy w domu Asi, Wojtka i ich 2,5-letniego syna Szymona. Był to piętrowy dom we wsi Strzelce Górne. Szczerze mówiąc, od pierwszych sekund byłam zaskoczona, że ludzie sukcesu, którzy mają małe dziecko, przyjęli do swojego domu „Bóg wie kogo”. Bo tak naprawdę nie mieli pojęcia, kto zamieszka w ich domu.

Kiedy nakrywamy stół do wieczery wigilijnej, zawsze stawiamy dodatkowe nakrycie. Mówimy, że to dla nieoczekiwanego gościa, który zapuka do naszych drzwi, gdy nie będzie miał gdzie spędzić wigilii. Pytanie – ile osób faktycznie wpuściłoby takiego gościa do swojego domu? Myślę, że ta rodzina bez wątpienia by wpuściła.

Pierwsze słowa powiedziane przez właściciela domu brzmiały: Nasz dom jest twoim domem. Dopóki żyję, będę pamiętała o dobroci naszych gospodarzy i starała się ich naśladować. Ci ludzie bardzo nas wspierali, pomogli załatwić wszystkie sprawy związane z dokumentami. Bardzo się bałam, że dzieci mogą coś zepsuć w ich domu, że nabrudzimy. Dlatego, choć byli niezwykle gościnni, nie zostałam długo w ich rodzinie. Miałam trochę oszczędności, więc po dwóch tygodniach pobytu w ich uroczej rodzinie zaczęłam szukać mieszkania do wynajęcia. Oczywiście pomogli mi – zadzwonili, pojechali ze mną obejrzeć, pomogli w podpisaniu umowy najmu, a potem także w umieszczeniu dzieci w przedszkolu. Pierwszego dnia do przedszkola zawiózł nas pan Wojtek. Ten gest był bardzo symboliczny. Jak rodzice odprowadzali swoje dzieci, tak on odprowadzał nas do samodzielnego życia.

Nie śmiałam więcej przeszkadzać im swoimi problemami.

Zaczęłam szukać pracy. A jednocześnie wokół wiosna w pełni. Rozkwitły kwiaty, pojawiły się pierwsze roślinki, a mnie właśnie wtedy ogarnęła nieopisana tęsknota. Tęskniłam za „moją”

wiosną, za „moimi” kwiatami. Tak bardzo chciałam zobaczyć, jak „moja” trawa zazieleniła się. Płakałam każdego dnia. Pomyślałam o „moich” kwitnących tulipanach i szlochałam. Tak bardzo tęskniłam za domem.

Jak wszyscy, których wojna zmusiła do opuszczenia Ukrainy, miałam nadzieję, że szybko wrócę. Ale im więcej czasu mijało, tym bardziej stawało się jasne, że „wkrótce” będzie musiało czekać bardzo długo. Ciągle jednak nie kupowałam niczego, bez czego moglibyśmy się obejść. Żadnych dodatkowych naczyń, żadnej odzieży, żadnych zabawek. Starłam się mieć dokładnie tyle rzeczy, ile zmieściłoby się w walizce. Bo przecież nie jesteśmy tu na długo.

Dostałam pracę w kawiarni. Pomagałam w przygotowywaniu obiadów. Mój szef pytał mnie prawie codziennie:

- Żyjesz? – na co otrzymywałam suche – Czasami.

Cały zespół starał się mnie wspierać i pocieszać. Oni w głębi duszy wiedzieli, że ich dobre słowa raczej nie ukoją mojej tęsknoty, a ja z kolei udawałam, że trochę mi lepiej, żeby nie litowali się. Tak naprawdę płakałam przez cztery miesiące.

Potem zaczęły pojawiać się informacje, że w Ukrainie od 1 września szkoły mogą być otwarte w pełnym wymiarze godzin. Zatliła się we mnie myśl o powrocie do domu.

Jednego dnia jechałam, drugiego zostawałam. Decydujące było wspomnienie tych pierwszych godzin świadomości, że rozpoczęła się wojna. Czy mam znów obudzić dzieci, czy niech już będzie jak będzie, byle dzieci nie odczuwały strachu? Ostatecznie zdecydowałam, że nie zabiorę dzieci do domu, dopóki wojna się nie skończy. Są ważniejsze niż moje tęsknoty, uczucia i ambicje. Co zaskakujące, po podjęciu tej decyzji odżyłam. Pojawiła się chęć nauczenia się czegoś, pójścia naprzód. Poszłam na kurs polskiego, zaczęłam się często uśmiechać, nawet pomalowałam usta, zaczęłam szukać bardziej obiecującej pracy, zapisałam się do szkoły policealnej, złożyłam dokumenty konieczne do uzyskania pozwolenia na pracę zgodną z moim wykształceniem. Kupiłam też chochlę, dodatkowe kubki (dla gości) i klocki Lego.

Minął rok. Pogodziłam się z faktem, że zostanę trochę dłużej. Ale tęsknota za moim domem, moją ziemią nie opuszcza mnie. Myślę, że ludzi można porównać do roślin. Niektórym udaje się zakorzenić w sprzyjających warunkach, a niektóre rodzą się z nasion i nie tolerują przeszczepów. Tęsknię ciągle za „moją” wiosną. I ciągle we mnie głoś jakiś wciąż szepcze, że jeszcze trochę i wrócimy.



# Olenka Malenko

## Kalendarz



Styczeń - luty 2022 r.

Początek roku okazał się zaskakująco udany, poprzedziło go równie szczęśliwe zakończenie poprzedniego. Ciągle jeszcze podsumowuję mój udany miniony rok i planuję nadchodzący – pełen sukcesów rok 2022.

Niedawno otrzymałam zasłużony awans za owocną i sumienną pracę w ogromnej organizacji, w której pracuję. Jestem lubiana przez współpracowników i doceniana przez kierownictwo. Mam najlepszą pracę, wspaniałych kolegów, lojalnych i szczęśliwych przyjaciół.

Szukam instruktora nauki jazdy, który da mi tyle lekcji, ile potrzebuję i który nauczy mnie jeździć, ponieważ prawo jazdy mam od 12 lat, ale nigdy nie prowadziłam samochodu.

Planuję zapisać się na kursy języków obcych – dość zwlekania.

Zabiorę się w końcu za wypełnienie „Księgi mojej rodziny” – historii rodziny, którą chcę przekazać swoim dzieciom, ale do tego konieczne jest odnalezienie w Polsce moich bliskich, z którymi straciłam kontakt.

Jest świetnie. Cała moja rodzina i wszyscy przyjaciele są zdrowi. Dzieci chodzą do najlepszej szkoły w powiecie, do najlepszej nauczycielki. Bardzo ją kochają od pierwszych dni i ona bardzo je kocha. Dwa razy w tygodniu chodzą też na lekcje rysunku – wszyscy są zachwyceni ich pracami, dwa razy w tygodniu mają taniec towarzyski w grupach i indywidualne lekcje w parach. Uczą się walca i cha-chy – poważnie przygotowują się do pierwszego w ich życiu miejskiego turnieju w choreografii balowej, który ma się odbyć 27.02.2022 w Kijowie. Szukamy kostiumów. Jest też piłka nożna trzy razy w tygodniu i nie opuszczamy zajęć short tracka w soboty.

Zeszłej jesieni wylaliśmy fundament pod nasz przyszły dom, 30 km od Kijowa. W tym roku planujemy całkowicie wybudować i wykończyć pierwsze piętro i się do niego wprowadzić – dzieci już wybierają tapety i meble do swoich pokoi, proszą, byśmy w prezencie na urodziny, w kwietniu, podarowali im kota i psa a dodatkowo podwórkową trampolinę. Zgadza się z tatą, że to świetny pomysł – dzieciaki pobawią się na trampolinie, mama poczyta książkę w cieniu, a tata będzie grillował steki i podawał zimne wino.

To będzie rok pełen sukcesów i radosnych wydarzeń. To będzie nasz rok.

Jestem szczęśliwa.

Marzec 2022. Kupimy materiały budowlane do budowy domu.

Kwiecień 2022. To miesiąc, w którym urodziły się nasze dzieci, nasze największe szczęście i sens życia. I będzie wielkie święto religijne i rodzinne – Zmartwychwstanie Chrystusa. To święto, kiedy cała nasza liczna rodzina zgromadzi się przy świątecznym stole u mamy i taty.

Maj 2022. Planujemy rozpocząć bardzo aktywną budowę naszego domu.

Czerwiec 2022. Będziemy budować, ale nie zapominamy o rodzinnych wakacjach pod namiotami nad Dnieprem i weekendach ze znajomymi. Cały dzień pływanie i zabawa z dziećmi, a wieczorami bajki przy ognisku.

Lipiec 2022. Wyjazd nad morze na krótkie wakacje z rodziną, wspólne spędzanie czasu na wakacjach, słuchanie szumu morza i patrzeć w jego bezkres to rzecz święta.

Sierpień 2022. Dzieci pojedą na wieś do dziadków na cały miesiąc. Fajnie jest pojeździć z dziadkiem furmanką zaprzęzoną w konika łyśka albo pomagać babci przy zaganianiu krowy. A my w tym czasie pracujemy i budujemy.

Wrzesień 2022. Znowu szkoła, ich ulubiona klasa, najlepszy nauczyciel, dodatkowe zajęcia po szkole.

Październik 2022. Dom jest już pokryty dachem, montujemy okna i drzwi. Na piętrze trwają prace wewnętrzne.

Listopad 2022. Kończymy prace wykończeniowe w domu.

Grudzień 2022. Nareszcie wprowadzamy się do naszego wymarzonego domu. Życie dopiero się zaczyna.

Niestety, stało się inaczej.

20.02.2022. Niedziela, święto. Czas, kiedy umysł nie chce wierzyć, ale na szczęście ręce działają.

Moje dzieci i ja rozmawiamy o tym, czym jest syrena i co zrobić, gdy ją usłyszą. Opowiadamy, czym jest stan zagrożenia, gdzie nie wolno przebywać w jego trakcie i co należy zrobić. Wskazujemy bezpieczne miejsca w domu, szkole, na placu zabaw i w innych miejscach, ćwiczymy upadanie na podłogę (twarzą w dół, ręce splecione za głową, nogi skrzyżowane, usta otwarte) w przypadku ostrzału, nalotów i innych niebezpieczeństw. Po obiedzie dzieci poszły do swoich przyjaciół, a my kompletowaliśmy z mężem walizkę alarmową – z apteczką, środkami higienicznymi, dokumentami, ciepłymi rzeczami dla dzieci (nasze się nie zmieściły), minimalnym zapasem wody i jedzenia, słuchawkami, powerbankiem, latarkami, świecami, zapalkami, zapalniczką, bateriami, drobnymi banknotami, kartami. W prawie każdej kieszeni zapisuję dane kontaktowe wszystkich krewnych i dane naszych dzieci. Ustawiam telefon na odpowiednie stacje radiowe, subskrybuję oficjalne źródła informacji. Mamy plan A (na czas obecny) i plan B (gdyby jednak coś).

21.02.2022. Dzieci w szkole, my w pracy. Zadzwoiłam do nauczycielki i zapytałam, dokąd zostaną zabrane dzieci w razie niebezpieczeństwa. Nauczycielka powiedziała, że zaprowadzą je do piwnicy, ale dodała, że trzeba myśleć pozytywnie i wierzyć, że będzie dobrze.

22.02.2022. Nasz tata wyjeżdża w podróż służbową do 26 lutego 2022 roku.

23.02.2022. Jest mi trochę zimno. Dziś miałam trzecie szczepienie przeciwko COVID-19, postanowiłam zaryzykować i się zaszczepić, żeby nie tracić czasu na wizyty i kolejki.

Wieczór. Jestem już w domu, odebrałam dzieci ze szkoły. Czuję się niezbyt dobrze, temperatura 38,8, całe ciało strasznie boli. Nie sprawdziłam dzieciom lekcji, zjedliśmy kolację, pomogły mi się przebrać i poszliśmy spać.

24.02.2022. Dzień, w którym wszystko się zmieniło.

Plan A natychmiast odpadł. Działamy zgodnie z planem B.

09.03.2022. Już dwa tygodnie żyjemy w piwnicy dwupiętrowego domu naszych krewnych. Pewnego dnia przypadkowo dowiedziałem się od mamy, jak nazywa się miasto, gdzie mieszkają nasi krewni w Polsce, których kiedyś szukałam. Zachęcona przez mamę i męża napisałam na Facebooku do wszystkich mężczyzn o takim imieniu i nazwisku, jak nasz krewny, w tym do jednego konkretnie z Łomży, wspomnianej w starej korespondencji. Napisałam, ale nie robiłam sobie specjalnej nadziei, że odnajdę bliskich. Nie minął dzień, gdy otrzymałem wiadomość z Łomży, że poszukiwani przeze mnie krewni to jego rodzice. W kolejnej wiadomości krewny pisał: Olena, bardzo się cieszę, że cię poznałem! Ilu was jest? Daj mi znać. Zabierz swoją rodzinę, swoich bliskich i rodziców i przyjedź do nas.

Odpowiedziałam, że nigdzie nie wyjadę, mój mąż poszedł do wojska, będę tu na niego czekać z moimi dziećmi. Dwa dni temu tak zdecydowałam i przestałam płakać.

Po chwili znowu zapikał Messenger: Czekamy na Ciebie. Olena, twoje dzieci są przyszłością Ukrainy.

11.03.2022. Dziś przekroczyliśmy granicę ukraińsko-polską i znaleźliśmy się w Łomży – niezwykle pięknym, słonecznym, zielonym mieście z niesamowicie miłymi i życzliwymi ludźmi. Poznałam moją dużą polską rodzinę (dziadków oraz kuzynostwo), której korzenie wywodzą się z Ukrainy, choć mój pradziadek nosi polskie nazwisko Twardowski. To niezwykli ludzie. Są dla mnie wsparciem o każdej porze dnia.

15.03.2022. Zapisalam dzieci do przedszkola – w Ukrainie chodziły wprawdzie do 1 klasy, ale tutaj do szkoły ich nie przyjęto. Kilka dni później napisałam CV i wysłałam je do lokalnego banku, poszukującego konsultanta do kontaktów z obywatelami Ukrainy, którzy przychodzili wymieniać hrywny na złotówki. Kilka dni później przesłam pozytywnie rozmowę kwalifikacyjną z dyrektorem departamentu.

01.04.2022. Rozpoczęłam pracę w banku. Powiedzieć, że się bałam, to nic nie powiedzieć. Pierwszego dnia pracy w nowej dla mnie roli zadałam sobie pytanie: Co ja tu robię? Po co mi to wszystko? Nie znam ani jednego słowa po polsku, nie potrafię nawet poprawnie wymówić dzień dobry. Ale okazało się, że to był dzień, w którym poznałam najlepszą drużynę na świecie, drużynę moich marzeń. To niezwykle sympatyczne i piękne kobiety oraz dwóch mężczyzn. Mogę poprosić każdego z nich o pomoc, a oni zawsze mi pomogą, zawsze mogę na nich liczyć.

16.06.2022. Pojechaliśmy nad morze. Byliśmy dzień w Gdańsku i trzy dni w Sopocie. Bo jakże tak – lato bez morza? To były dni, kiedy dzieci, kąpiąc się w zimnym jeszcze morzu, trzęsły się – jednak nie z zimna, ale ze szczęścia, jak mówiły.

01.09.2022. Dzieci poszły do pierwszej klasy po raz drugi, ale po raz pierwszy do polskiej szkoły.

09.09.2022. Dzień, w którym usiadłam za kierownicą własnego samochodu.

01.10.2022. Dziś skończyła się moja umowa o pracę w charakterze asystentki dla Ukraińców, ale zaraz zostałam zatrudniona na zupełnie innym stanowisku – teraz współpracuję ze wszystkimi klientami banku. To dużo pracy, ale cieszę się, gdy klientki wychodzą zadowolone. I zawsze mówią mi dużo komplementów, dużo miłych słów, wyrazów współczucia, wsparcia i życzeń szybkiego zwycięstwa, zawsze pytają, jak miewam się ja i moje dzieci, mój mąż i moi bliscy, którzy pozostają na Ukrainie.

15.12.2022. Dzień, w którym byłam po raz pierwszy współprowadzącą (oczywiście po polsku) wydarzenie dla klientów banku. I choć myślę, że przede mną jeszcze dużo nauki, to lubię, jak ludzie chwalać mnie za to, jak dobrze mówię po polsku. Niestety, ciągle jeszcze nie bardzo umiem pisać.

15.03.2023. Dziś mija rok i 14 dni, odkąd mój mąż i ojciec moich dzieci zgłosił się jako ochotnik do Sił Zbrojnych Ukrainy, a rok i 4 dni, odkąd ja i dwoje moich 6-letnich dzieci przyjechaliśmy do Polski z największego miasta Ukrainy.

To był rok bólu, tęsknoty za bliskimi, rozłąki i nieopisanej dziecięcej tęsknoty za przyjaciółmi, nauczycielami, własnym pokojem, zabawkami, kuzynostwem, a co najważniejsze – za tatą.

To był rok nowych znajomości z pięknymi ludźmi, rok odkrywania siebie i nowych możliwości, rok łez i rok niezwykłego wsparcia.

W tym roku moja córka powiedziała mi w sekrecie, że razem z bratem nie chcą zabawek na urodziny. W tym roku, zdmuchując świece na świątecznym torcie, wypowiedzą życzenie, by mogli jak najszybciej zobaczyć się z tatą i babcią.

# Natalia Verbytskaya

## Pamiętam nasz pocałunek



Mam na imię Natalia. Pochodzę z pięknego miasta Zaporozie. Rano 24 lutego 2022 roku mój mąż i ja poszliśmy jak zwykle do pracy a syn do szkoły. Ponieważ wyjechaliśmy z domu dość wcześnie, nie wiedzieliśmy jeszcze, co się dzieje. Ale bliżej

obiadu stało się jasne, że sytuacja jest bardzo, bardzo poważna. Najdziwniejsze było to, że mózg po prostu nie chciał uwierzyć, że napadł na nas sąsiedni kraj. Zaatakował wrednie, cynicznie i bez wyraźnych powodów!

Pamiętam, jak jechałam przez swoje rodzinne miasto do domu – na pierwszy rzut oka wszystko było jak zwykle, ale jakieś niezrozumiałe, przerażające, lepkie uczucie strachu stopniowo wypełniało wszystkich do głębi.

Pamiętam to uczucie, kiedy myśli kłębiły się w głowie i nie mogłam pojąć, co się dzieje. Pamiętam, jak zadzwoniłam do syna (dzięki Bogu, był już w domu), jak bardzo martwiłam się o męża, który był jeszcze w firmie po drugiej stronie miasta i też nie rozumiał, co się dzieje. Kolejne dni były jakimś koszmarem, wiesz, jak w serialu grozy, gdzie każdego dnia bohaterowie stawiają czoła nowej próbie i wiecznemu uczuciu strachu – to dosłownie szło ze środka i wypełniało każdą komórkę ciała. Za każdym razem słysząc dźwięk syren lub wybuch pocisku czy rakiety, miałam wrażenie, że to ostatni dźwięk, który słyszę.

Drugiego dnia wojny mój mąż, wraz z sąsiadami szukającymi schronienia, zaczął wyposażać piwnicę naszego domu. Prace nie ustawały, ciągle szukano słabych punktów, starano się poprawić warunki, w których przyszło nam przebywać długie godziny. Bywały dni, kiedy między alarmami biegliśmy do domu, żeby ugotować jedzenie, umyć się czy po prostu załatwić potrzeby fizjologiczne. Odczucia trudne do przekazania: zmęczenie, strach, złość, rozpacz, niepewność i kolejny milion niezrozumiałych emocji – wszystko zlepiło się w jeden ciągły

horror. Razem z nami było bardzo dużo ludzi, nasi rodzice, osoby starsze i dzieci, było nawet niemowlę, to był straszny widok. Ale kłopoty jednoczą ludzi. W naszej grupie panowała atmosfera wsparcia, staraliśmy się sobie pomagać, jak tylko mogliśmy.

Widząc mój stan psychiczny i martwiąc się o syna, mąż codziennie nalegał, abym wyjechała stąd jak najdalej. Na początku nie mogłam się na to zdecydować, bo tu jest MÓJ DOM, MOJA RODZINA, MOJE ŻYCIE, MOJA OJCZYZNA! Ale w końcu się zgodziłam. Pamiętam tę trudną rozmowę, kiedy mąż przekonywał mnie w nocy, że teraz trzeba myśleć nie o sobie, ale ratować dziecko, nasz skarb i naszą przyszłość. I rankiem 7 marca, po kolejnej strasznej nocy, zebrawszy minimum rzeczy i zapasów na drogę, wyruszyliśmy na spotkanie z nieznanym. Był to punkt zwrotny w moim życiu.

Pamiętam, jakby to było wczoraj, jak żegnałam się z mamą, z rodzicami męża, ten strach w ich w oczach i na ich twarzach, to niekończące się morze łez, to uczucie paniki, jakbyś robił krok w przepaść. Pamiętam, jak mąż nas odprowadzał, dawał wskazówki, starał się nas uspokoić, zapewniał, że to nie na długo, a ja nie mogłam uwierzyć w to, że wyjeżdżam, nie mogłam sobie tego uświadomić.

Pamiętam nasz pocałunek, nasz dotyk przed rozstaniem. On został tam, wśród zastygłych ze strachu ludzi, którzy budzili się do życia z chwilą kolejnego alarmu i dalekiego nawet wybuchu, a my wyruszyliśmy szukać bezpiecznego miejsca...

A potem była długa droga do Polski, niekończące się nieplanowane postoje z powodu bombardowań i nieustanne modlitwy dochodzące z różnych części naszego samochodu. Ludzi było tak dużo, że dosłownie siedzieliśmy przytuleni do siebie, niektórzy usadowili się na podłodze. Na górnej pryczy mieliśmy jedno łóżko i na zmianę kładliśmy tam nasze dzieci, trwało to nieco ponad dobę.

Dzień Kobiet zastał nas w pociągu, był to wagon płaczących matek i zmęczonych dzieci. Przed nami była długa droga do granicy, odprawa celna i w końcu znaleźliśmy się w innym kraju. Pamiętam jak po dwóch dniach podróży, totalnie wykończeni, nakarmieni gorącą zupą i herbatą, zasnęliśmy z synkiem na ławce. Gdy trochę doszliśmy do siebie, kontynuowaliśmy naszą podróż do miasta Świecie, gdzie czekał na nas daleki krewny mąż. To była trudna droga, bo bez znajomości języka i trasy, ale daliśmy radę. Późnym wieczorem dotarliśmy do Bydgoszczy, skąd Dima nas odebrał i zawiózł do naszego nowego domu. Jestem mu bardzo wdzięczna za pomoc. Nakarmił nas, w końcu wzięliśmy prysznic i poszliśmy spać – pierwszy raz spokojnie od trzech dni.

W tym momencie zaczęła się moja znajomość z nową rzeczywistością, nowymi ludźmi, nowym krajem, nowym miastem i jego wspaniałym mieszkańcami. Bardzo mnie wzruszyło to, jak miejscowi przychodzili do nas codziennie, przynosili odzież, naczynia, środki higieniczne i pytali, czy czegoś jeszcze nie potrzebujemy. Dzięki Dimie poznaliśmy wspaniałą rodzinę Kuflów, Mariana i Bożenę, którzy przyjęli nas, pomogli nam złapać oddech i stanąć na nogi. Dosłownie dodali nam skrzydeł. Dali motywację do organizowania dalszego życia oraz nadzieję na lepsze jutro. A także pokazali pobliskie, równie piękne miasta. Tam też poznaliśmy naszych rodaków, pomagamy sobie nawzajem, dajemy sobie wsparcie moralne, z jedną z nich, Anną, mam bliższy kontakt. Pani Bożena zapoznała mnie z panem Robertem Ignaszakiem i panią Iwoną Ignaszak, właścicielami wspaniałego sklepu optycznego, w którym obecnie odbywam staż. I powiem szczerze, że jest to najlepsza praca w moim życiu! Nigdy w życiu nie spotkałam tak wspaniałego zespołu i kierownictwa. Wszyscy są dla mnie jak rodzina, każdemu z osobna jestem szczerze wdzięczna, za wszystko, co zrobili dla mnie i mojego synka. Dosłownie zajęli się domem – ktoś wesprze, ktoś nakarmi, ktoś próbuje rozweselić a każdy wysłucha i pozwoli czuć, że nie jestem sama, że jestem wśród przyjaciół. I to jest super! Jestem też bardzo wdzięczna nauczycielom z miejscowego liceum, gdzie uczy się mój syn Danil. Jest zachwycony nauczycielami i ich wsparciem. Dziękuję też naszej nauczycielce języka polskiego, bo dzięki niej nauka idzie szybciej. W wolnym czasie, żeby się jakoś odstresować, zajmuję się moim ulubionym hobby – dziergam torby i koszyki.

Minął już rok, odkąd jestem tutaj, rok, który na zawsze zmienił życie każdego z nas. Był to czas, kiedy trzeba było na nowo przewartościować świat, wiele spraw zrozumieć i przyjąć. Codziennie tęsknię za rodziną, bliskimi i przyjaciółmi oraz za moim jedynym ukochanym Andriyem. Nasza duchowa więź daje nam siłę, aby każdego dnia wstawać i iść dalej. Codziennie dzwonimy do siebie i dzielimy informacjami o tym, jak minął dzień. Rozmawiamy przez godzinę lub dłużej, daje to nam poczucie, że nawet, choć jesteśmy daleko, nasze dusze są blisko. Zrozumieliśmy jedną prostą prawdę – gdy się kocha szczerze, odległość nie jest przeszkodą. Każdego dnia modlimy się, aby wszyscy żyli i byli zdrowi, aby ta straszna wojna jak najszybciej się skończyła, abyśmy mieli siłę nadal pokonywać trudności i marzymy o chwili, gdy znów będziemy mogli się zobaczyć, znów trzymać za ręce, całować ze łzami radości w oczach i rozpląnąć się w ramionach miłości ukochanego człowieka.

Wierzę, że tak będzie, niech więc tak będzie!



# Yana Shishkina

## Ta ostatnia łyżka barszczu



To był początek wiosny. Wiosny, o której przypominał tylko kalendarz na ścianie, bo wszyscy ciągle przeżywali ten straszny zimowy dzień 24 lutego. W mojej głowie nieustannie kłębiły się rozmaite myśli, oczyma wyobraźni widziałam tylko nieznanne i strach. Mój mózg jak fotografie w albumie pokazywał różne etapy życia, ale nie przyszłość.

Wieczór. Na dworze pada deszcz, wieje przenikliwy wiatr, jest zimno. Siedzę przy stole w domu mojej mamy i taty i delectuję się gorącym barszczem. Moja mama z niepokojem zaczyna mówić coś o dwóch-trzech miesiącach, ale jej słowa ulatują gdzieś w powietrze, przestają je słyszeć, za to moje kubki smakowe pracują ze zdwojoną siłą, staram się zapamiętać smak barszczu mojej mamy – z każdą łyżką stawał się bogatszy i bardziej wyrazisty, ostatnia była najsmaczniejsza. Do dziś pamiętam jego smak. To był pożegnalny wieczór, ostatnie chwile w domu, ostatnia łyżka.

Po tym, jak mocno przytuliłam mamę i tatę, a dzieci przytuliły swoich dziadków, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy do naszego domu, aby spakować nasze życie do jednej walizki. Ręce chaotycznie chwyciły coś z kredensu, oczy biegały z przerażeniem po półkach, próbując przez łzy zobaczyć potrzebne rzeczy. Rozpacz i niepokój ścisnęły serce. W pokoju panował straszny chaos.

Z jakiegoś powodu starszy syn uznał wszystko jako ciekawą przygodę, podróż w nowe życie, młodszy spokojnie bawił się grą. Mąż był skoncentrowany i skrupulatnie planował podróż. A ja czułam się jak nagi nerw, jak porzrzucona łamigłówka, której fragmentów nikt nie może znaleźć...

Nigdy... Nigdy nie chciałam mieszkać w innym kraju. Ale poranek 3 marca zmienił moje myślenie. Być może dlatego każdy krok, jaki stawiałam z domu do samochodu, był ciężki. Sprawiałam wrażenie, jakby korzenie wyrastały mi ze stóp i wbijały się w ziemię, nie puszczając mnie i mocno trzymając. Takich kroków było 17, nie wiedzieć dlaczego je policzyłam.

Droga do Polski była trudna, ale nie pozostawiła w mojej pamięci żadnych szczególnych śladów, tylko nieistotne epizody: samochody, ludzie, dzieci, zwierzęta, mili żołnierze na punktach kontrolnych. Ktoś był bardzo przystojny i schludny, a ktoś inny ubrany luźno i z nieuczesanymi włosami, tak jak ja. Wszystkich łączył smutek w oczach.

Po drodze było wiele zmartwień i niepokojów, aż do momentu, kiedy wraz z dziećmi i walizką ważącą pół życia znalazłam się w nieznanym, ale czułam, że życzliwej, polskiej rodzinie, która na najbliższe pięć miesięcy stała się dla mnie małym światem wsparcia i pomocy. Od tego momentu rozumiałam, że bezpieczeństwo ma swój zapach, smak, dotyk, konsystencję i rozmiar.

Czuąc się bezpieczna, delektuję się smakiem słodkiej herbaty lub dżemu truskawkowego, przytulam dzieci i czuję ich ciepło i czułość. Dostrzegam za oknem jasny promień słońca lub przejrzyste krople deszczu. Patrzę na czyste niebo i uderza mnie jego ogrom. A jak cudowny jest zapach świeżego chleba czy porannej kawy, albo wiosenny wietrzyk, który, jakby niechcący, wleciał przez otwarte okno.

Polska przywitała mnie spokojnym, wygodnym i bezpiecznym życiem. Rozpoczęły się zwykłe, cenne ze względu na rutynę dni: nauka języka, szukanie pracy, szkoła, przedszkole, nowe znajomości. To wszystko było dla mnie niezwykle trudne, czasem wręcz wydawało się nierealne. Jak ten pająk codziennie tkął sieć na całe życie, ale widocznie była za cienka, ciągle się psuła, brakowało mi siły i pewności siebie. Dziękuję losowi, że miałam tutaj Yanlali (tak żartobliwie nazywam moich przyjaciół), którzy od dawna mieszkają w Polsce i pokazali, że można ją szczerze pokochać – ich wsparcie było niesamowite. Zawsze mi mówili: „Kaźda porażka to doświadczenie potrzebne, by iść dalej”.

Dało mi to wiarę w siebie, a wiary potrzebowałam jak powietrza.

Natrętnie wątpliwości, tęsknota za domem, lęk przed nieznanym, poczucie winy – wszystko było tak głośne w mojej duszy, że często traciłam nad sobą kontrolę, a łzy leciały mi z oczu jak palący grad. Ale nie poddałam się i bardzo szybko wszystko się ułożyło: najstarszy syn poszedł do szkoły, szybko się zaadaptował i nawet wszedł do pierwszej piątki uczniów w klasie. Jestem z niego dumna! Dla najmłodszego znalazło się miejsce w przedszkolu, trudno było mu

się przyzwyczaić, ale udało się. On jest moim małym bohaterem! Ja w końcu też mam pracę, którą kocham i bardzo cenię, pracuję jako nauczyciel, asystent dzieci z Ukrainy. To mnie inspiruje i motywuje do dalszego działania.

Po prawie pół roku pożegnaliśmy się z naszą polską rodziną, bo wynajęliśmy własne mieszkanie. Zanim pojechaliśmy do nowego domu, było dużo wzruszających chwil, nasze wdzięczne oczy, ich ciepłe uściski. Poczułam się szczęśliwa...

Miesiąc po miesiącu żyliśmy pełnią życia, pracowaliśmy, uczyliśmy się, spotykaliśmy, odpoczywaliśmy i często się uśmiechaliśmy. Mój uśmiech przyciągał uwagę i często obdarzano mnie komplementami. Uśmiech, który widział cały świat, zakrył łzy, których nikt nie widział. Bo co dzień bolało mnie serce z tęsknoty i żalu za moją rodzinną Ukrainą, moją ojczyzną, w której nie byłam od roku, nie oddychałam jej powietrzem, nie chodziłam po tej ziemi, której tak mocno kurczowo trzymały się nogi, za barszczem mojej mamy...

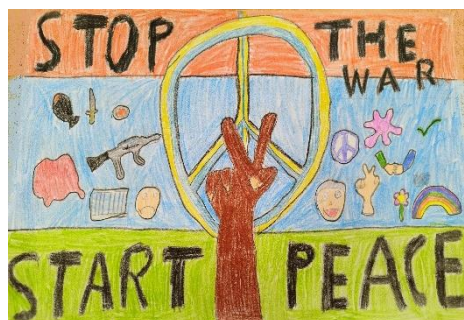
Ze szczegółami pamiętam te ostatnie uściski, tę ostatnią najsmaczniejszą łyżkę...

Wierzę w nasze zwycięstwo, wierzę w naszych żołnierzy-bohaterów, w naszą niezłomność, w nasze matki, córki i synów. Na pewno wytrwamy i a potem zasiądziemy wspólnie z tymi, którzy nam dali schronienie jak jedna wielka rodzina.

Dzięki Polsce i Chwała Ukrainie, Chwała Bohaterom!

# Chara Debukina

## Dzwonek



Anka siedziała na ławce w parku niedaleko Filharmonii Pomorskiej. Niedziela zalewała miasto słońcem. Dziewczyna generalnie lubiła pogodę w Polsce, szczególnie tutaj, w Bydgoszczy – przypominała taką, jaka zwykle jest w jej domu, nad Morzem Czarnym, w rejonie Chersonia. Często spacerowała po mieście, czasem łapała zapach domu i wtedy nie mogła się nim nasycić – tak znajomy, lekko słony i świeży, że zawsze wdychała go długo i do pełna. Gdy wiatr rozwiewał zapachy i wspomnienia, Anka momentalnie odzyskiwała świadomość, gdzie jest i kim jest.

Dziś jej myśli nie były tak dobre jak pogoda. Rok. Dzisiaj minął rok. Rok życia. Skradziony. Jej. Każdemu Ukraińcowi. Martwemu, żywemu, nienarodzonemu. Ale też rok podarowany. Bo wiele osób zostało uratowanych i dostało szansę na nowe życie tutaj, w Polsce. Jednak dwudziestopięcioletnia Anka nie wiedziała, czy ten rok to dar, czy przekleństwo. Wczoraj myślała o otwarciu swojej kwiaciarni. A dziś przypomniała sobie, że wszystkie jej kwiaty zwiędły prawie rok temu, kiedy w kwietniu zamknęła drzwi swojego sklepu i wyjechała spod okupacji. Wczoraj mówiła płynnie po polsku o swoich ulubionych polskich produktach, a dziś przypomniała sobie, że najsmaczniejsze pomidory są w ogródku jej mamy. Wczoraj była tu. Dziś tam.

- Ale jak długo jeszcze, Panie? – nie zauważyła, że zadała to pytanie na głos.
- Też często sobie zadaję to pytanie – powiedziała kobieta na pobliskiej ławce.
- Przepraszam – powiedziała zawstydzonym głosem Anka.
- Mówisz o tym, kiedy skończy się wojna?
- Tak... – zdziwiła się, a jej duże zielone oczy zrobiły się jeszcze większe.

Wysoka kobieta, wyglądająca na czterdzieści pięć lat, z krótkimi blond włosami wstała z ławki i podeszła do Anki. Ściągnęła długą szarą puchową kurtkę i usiadła obok niej.

– Astrologowie mówią, że koniec nadejdzie wkrótce – powiedziała energicznie kobieta.

– Nie słucham tego – powiedziała Anka.

– Dobrze robisz. Nie żyj nadzieją – uśmiechnęła się kobieta. – Tak jak ja.

– Skąd pani jest?

– Z Charkowa. Wyjechałam trzy dni po rozpoczęciu wojny, gdy zobaczyłam w oddali ze swoich okien na dziewiątym piętrze konwój pojazdów, jadący przez miasto od strony granicy.

– Straszne – przerwała Anka.

Nie widziała takich konwojów i rzadko spotykała rosyjskich żołnierzy, ponieważ jej miasto było małe i dalekie od działań wojennych.

– Było strasznie, tak. Ale teraz jest spokojniej – nasi chłopcy z obrony przeciwlotniczej mają sokole oko. Dlatego myślę o powrocie.

– Co będzie pani robić?

– Tak samo jak przed wojną – będę piec ciasta na zamówienie. Przyjaciele w Charkowie mówią, że tam nie czuć teraz atmosfery świąt, więc potrzebują mojej pomocy – kobieta opuściła nieco okulary i mrugnęła.

– A ja jestem z okolic Chersonia, który jest okupowany. Więc nie wiem, kiedy będę mogła wrócić. Czy kiedykolwiek będę mogła – powiedziała w zamyśleniu Anka – Nie wiem nawet, czy powinnam wracać, czy jednak zostać – dodała.

– Dlaczego?

– Tutaj wciąż jestem obca. Ale tam już też obca. No i sam fakt – jestem tutaj.

– Gdybyś wierzyła astrologom, nie uprawiałabyś takiej filozofii – zażartowała kobieta. – Czym się zajmujesz?

– Florystyką. Chcesz, żebym pokazała ci moje bukiety? To jest moja pasja.

Kobieta skinęła głową. Anka odblokowała telefon i weszła do galerii. Miała tam zdjęcia swoich prac – całe portfolio!

– Lubię takie! Co to jest?

– Eustoma – uśmiechnęła się Anka. – Mój ulubiony kwiat.

Kobieta zobaczyła, z jaką czułością Anka opowiadała o kwiatach, więc powiedziała:

– Chcesz porady? Żyj tu i teraz.

– Dużo o tym myślałam...

– Zrobimy tak! – przerwała. – Jeśli jutro wojna się nie skończy, złóż wniosek o wsparcie dla przedsiębiorców – wiem, że program jest nadal aktywny – i otwórz tu, w Bydgoszczy, kwiaciarnię.

Anka nie lubiła pochopnych obietnic, ale rok życia w nieznanym ją zmęczył i jedyne, czego teraz pragnęła, to znak, który pomógłby jej podnieść się i stanąć twardo na nogach.

Myślała przez pięć sekund i wyrzuciła ostro:

– Umowa stoi!

Kobieta przeciągnęła się z uśmiechem i pewnie, jakby wiedziała, że jutro nic się nie zmieni, powiedziała: – Otwórz!, a po chwili dodała, że już jej czas.

– Ok. Swoją drogą, jak wrócę, to zamówię u ciebie tort – powiedziała w końcu Anka.

Kobieta wstała z ławki i odpowiedziała:

– Jak wrócę, wpadnę po kwiaty.

Są takie różne. I takie jednakowe. Jedna z północno-wschodniej Ukrainy, druga z południa. Jedna zostaje, druga wyjeżdża. Obie budują nowe życie na gruzach starego.

Anka długo siedziała na ławce i myślała o swoim sklepie: jaki będzie, jak go nazwie, kto będzie do niej przychodził po kwiaty i ile świąt upiększy swoimi bukietami. Gdyby słuchała astrologów, na pewno usłyszałyby, że czekają ją ogromne, ale pozytywne zmiany. Ale i bez nich już wiedziała, że wszystko się ułoży. Zdecydowała, że nie będzie już hamować życia, wątpić i czekać. Wstała, poprawiła czapkę i ruszyła w stronę domu, bo, choć słońce nadal rozświetlało miasto, stopy już trochę jej zmarzły. Starła się tego nie zauważać, ciesząc się dniem. Bydgoska zima jest naprawdę cudowna – słońce świeci tak, że mruży oczy, mróz gryzie w policzki a świeże powietrze kłuje w nos. „Kwiaty nie zamarzną” – pomyślała i wyjęła telefon, który wibrował w jej kieszeni.

– Halo, mamoo? Nareszcie znowu masz połączenie! Muszę ci coś powiedzieć – powiedziała szybko Anka.

– Córeczko... Wojna się skończyła!

# Elena Chernyshova

## Dziękuję, kochana siostrzyczko



Moje życie dzieli się na przed i po 24 lutego 2022 roku. Mieszkałam na wsi pod Kijowem, od strony Iwankowa. Słyszeliśmy wybuchy w Iwankowie, w Czarnobylu. Zrozumieliśmy, że dzieje się coś strasznego, ale potem wszystko się uspokoiło. Na chwilę zaledwie, bo 24 lutego do naszej wioski wkroczyła kolumna transporterów opancerzonych i czołgów z żołnierzami z automatami. To było przerażające i niezrozumiałe. A jeszcze światło wyłączyli i cała wioska pogrążyła się w ciemności. Do tego ja mieszkałam naprzeciwko szkoły, gdzie oni się zakwaterowali jak na swoim. I zaczęło się najgorsze...

Nie było światła, ciepła, komunikacji, sklepy były puste, nie było wody. Drugiego dnia zaczął padać śnieg, zaczęliśmy powoli wychodzić z domu, żeby przynajmniej ten śnieg zebrać i stopić. Okupanci chodzili od domu do domu w poszukiwaniu broni i papierosów. Pojawił się pluton Czeczenów. Chodzili od domu do domu, wypytywali o myśliwych, szukali broni. Przyszli do mnie. To było straszne rozmawiać z ludźmi z karabinami maszynowymi w pogotowiu. W szkole zorganizowali szpital. Helikoptery latały niemal nad głowami, zarówno w dzień, jak i w nocy. Nocami schodziliśmy do schronu. Było zimno jak diabli. Wielu zachorowało. Zwłaszcza osoby starsze i dzieci. Spałam ubrana i w filcowych butach. Gdy tylko słyszałam wybuchy – uciekam z kotem do schronu. Byłam strasznie spragniona i głodna. Spuszczaliśmy resztkę wody z kranu, topiliśmy śnieg. A żywnością dzielił się każdy z każdym, czym kto miał. Najgorsze, że nie było żadnego połączenia. Spoglądam w stronę Kijowa i myślę – Panie! Tam są moje dzieci... Co się z nimi dzieje? Okupanci powiedzieli nam, że Kijów padł. Że wojska ukraińskie uciekły. Usłyszawszy to, wszyscy płakaliśmy – beznadzieja była straszna. Dzięki Bogu, w naszej wiosce zginęło niewiele osób. Krążyła jednak plotka, że podczas odwrotu cała wieś zostanie zniszczona. Postanowiłam uciekać. Ale mosty do Kijowa zostały wysadzone

w powietrze, można było tylko w stronę Białorusi. Dusza rwała się jednak do Kijowa. W końcu dali nam „zielony korytarz”, ale ostrzegali, że możemy nie dotrzeć, możemy zostać zabici. Nie miało to już dla mnie znaczenia... Chciałam jechać do Kijowa, by być bliżej dzieci...

Rano przyjechał autobus. Włożyłam kota do torby, zamknęłam mieszkanie i wsiadłam do autobusu. I pod hukiem rakiet i ostrzałem z karabinów maszynowych udało nam się przedrzeć do Demidowa. To był armagedon – wysadzone mosty, zniszczone wioski. Na drugą stronę, bliżej Kijowa przedostaliśmy się mostem pontonowym. Wszędzie pełno niewybuchów... Spalone samochody... Porzucone walizki, ubrania... To było straszne... Biegłam uparcie do przodu, modląc się. Kot bardzo krzyczał, bałam się, że wyskoczy, nie zostawiłabym go – poszłabym pod kule. Po stronie ukraińskiej przywitali nas nasi żołnierze, krewni, bliscy... Płacemy, całujemy się... Szybko wsadzili nas do autobusu i biegiem, byle dalej od tego miejsca... Trzy razy zmienialiśmy autobusy. I jestem w Kijowie!

Ale moje dzieci już wyjechały. Pojechałam w ślad za nimi.

I tak wylądowałam w pięknej Polsce...

Na granicy zalałam się łzami na widok tego, jak Polacy nas przyjmowali. Droga z Kijowa była ciężka, jechaliśmy po ciemku, wagony były przepiętione, nikt nie myślał o jedzeniu. A Polacy nas karmili, dawali prezenty, rozdawali ubrania i częstowali herbatą. A co najważniejsze – rakiety nie latają, jest bezpiecznie. Najpierw dotarłam do miejscowości Kobiór. Tam mieszkaliśmy w sanatorium. Dostawialiśmy wyżywienie, odzież, zajmowali się naszymi dziećmi. Było dużo zabawek. Wolontariusze pomagali załatwiać formalności. Podarowali mi okulary. Zabrali mnie do lekarzy - moja psychika była bardzo zaburzona. W nocy śniły mi się wybuchy. Unikałam wszelkiego hałasu, ostrego dźwięku. Zabrano mnie do psychologa i stopniowo zaczęłam się uspokajać.

I zaczęłam się rozglądać, a kraj okazał się niezwykły! Mieszkaliśmy w lesie, wokół było tak czysto, zwierzęta biegały i nie bały się ludzi. Ponieważ bardzo lubię podróżować, zaczęłam jeździć na wycieczki – w góry i do różnych miast. Byłam w Tychach, Oświęcimiu, Pszczynie, Krakowie, Katowicach, Warszawie, Toruniu, Inowrocławiu, Bydgoszczy, Sopocie, Gdyni, Gdańsku. W Toruniu, gdzie teraz mieszkam, zakochałam się. To niezwykle urocze i przytulne miasto. Ma wszystko do szczęśliwego życia. Są tu baseny, boiska sportowe, parki. Jest rozwinięta infrastruktura i niezwykła architektura. Nie bez powodu Toruń jest jednym z najchętniej odwiedzanych miast. A torunianie to ludzie niesamowici! Dosłownie wszyscy rwą się do pomocy. A kiedy mówię o tym, czego doświadczyłam – płaczą. Nasz ból jest im tak bliski.



Mam problem ze zdrowiem, cały czas jestem w trakcie rehabilitacji – tutejsi lekarze są uważni i wyrozumiali, bardzo starają się mi pomóc. Cieszę się też, że trafiłam do Emica, to tutaj pomogli mi w znalezieniu mieszkania i cały czas służą radą i działaniem. Uwierzcie mi – nie usłyszałam nic negatywnego pod swoim adresem, jedynie chęć pomocy. I tak przez cały rok... jakbym była u mamy. Nieustannie pomagają, podpowiadają, doradzają i chronią. I to mnie zmieniło. Już nie boję się samolotów, nie reaguję na ostre dźwięki.

Podziwiam Polskę – jej historię, kulturę, kino, muzykę. Uwielbiam kuchnię polską. Na początku było nietypowo, niektóre potrawy zaskakiwały, na przykład kwaśna galaretką. Bardzo lubię polski rosół – to taka zupa. Często ją gotuję. Uczę się polskiego, jest bardzo delikatny i miękki, ale te „dź, sz, cz” – och, powiedzmy, urocze.

Polacy to piękny naród – kobiety zadbane, mężczyźni odważni. Imponuje mi, że Polacy to ludzie praworzadni i tego nas uczą. W mieście jest bezpiecznie – wieczorem można spacerować bez obaw. Uderzyły mnie polskie pociągi – czyste i wygodne. Byłam też zaskoczona, że na ulicy nie ma bezdomnych zwierząt. Ogólnie jestem zakochana w Polsce.

Dziękuję kochana siostrzyczko! Niech Bóg pomaga twojemu niezwykłemu ludowi, dziękuję za twoją serdeczność, życzliwość, hojność. Żyj i rozkwitaj, kochana Polsko!

# Vita Kuz'mins'ka

## Bezpieczny kąt u pięknych ludzi



Mam na imię Vita i chcę opowiedzieć o najważniejszym roku mojego życia. 23 lutego 2022 roku pojechałam do szpitala na konsultację przed operacją, którą miałam mieć następnego dnia i na którą czekałam od dawna. Lekarz powiedział, że wszystko w porządku, operacja będzie jutro.

Tymczasem nastał ten tragiczny poranek. Piąta rano. Kilka wybuchów, strach w naszych oczach i przerażenie w głowach. Dalej wszystko jak we mgle. Telefon z kliniki, że operacja odwołana. Dużo telefonów od znajomych, przyjaciół, krewnych.

Potem siedzieliśmy w telefonach i czytaliśmy wiadomości. To był jakiś horror, trudno było w to wszystko uwierzyć. Chaos. Ludzie pakowali się, na stacjach benzynowych były kilometrowe kolejki. Postanowiliśmy zostać w domu cokolwiek by się działo, ale bliżej wieczoru strach wziął górę. Pakowaliśmy wszystko, jakbyśmy mieli wyjechać na zawsze. Nie da się pisać bez łez, za każdym razem przeżywam to od nowa. W pierwszej kolejności drżałam o synka, który miał wtedy 3 latka i który niczego jeszcze nie rozumiał (na szczęście).

Najpierw wyjechaliśmy do teściowej, mieszka na wsi, tam było bezpiecznie. Dwa tygodnie nieprzespanych nocy, bo wróg był 75 km od nas. W nocy wybuchy. Wszyscy ze wsi wyjeżdżali za granicę. Ale my chcieliśmy zostać w domu, bo komu my tam potrzebni... Wiedzieliśmy, co działo się na wschodzie kraju, jak tam ludzie tracili wszystko i uciekali z jedną walizką. To im w pierwszej kolejności potrzebne było schronienie.

Dobrze pamiętam ten dzień – 7 marca – gdy wrogi helikopter przeleciał nad naszym budynkiem, a my siedzieliśmy w piwnicy i myśleliśmy, że to już koniec, że zaraz zrzuci bombę. To wtedy zdecydowaliśmy o wyjeździe do Polski. Trzy dni płakałam, to była najważniejsza decyzja w moim życiu, mam zostawić ukochanego męża i swoich drogich rodziców – moja mama fizycznie nie mogła wyjechać, bo opiekuje się tatą, który jeszcze nie doszedł do siebie

po wylewie. Uspokajałam się myślą, że za kilka dni to się skończy i wrócimy. W pierwszej kolejności ratowałam nasze dziecko.

Skontaktowaliśmy się z ukraińskimi wolontariuszami, oni pomogli zorganizować wyjazd i dziewiątego marca ja, mój synek i siostra męża, Dana, wyruszyliśmy w nieznane. Pomógł nam krewny, znajdując cudowną wolontariuszkę Monikę, która wzięła nas pod swoją opiekę.

Najważniejsza była droga. Syn był przerażony, nie rozumiał, dokąd go zabieram i dlaczego. Był w moich ramionach przez 26 godzin. Nie czułam swojego ciała i nie spałam ani minuty. Dobrze, że Dana była z nami, byliśmy dla siebie wielkim wsparciem. Na granicy staliśmy pięć długich godzin, potem pojechaliśmy do Warszawy i dalej pociągiem do miasta Tczew. Stamtąd zabrała nas Monika. Jechaliśmy pełni obaw, gdzie będziemy mieszkać. Przywieziono nas do pani Tatiany mieszkającej w Nowych Krąplewicach, w województwie kujawsko-pomorskim. Rozpłakałam się – ze stresu lub zmęczenia, a pani częstowała nas herbatą, siedzieliśmy i rozmawialiśmy. I wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że w końcu jesteśmy bezpieczni. Monika przywiozła nam wszystko, czego potrzebowaliśmy na początek. Zabawki, ubrania, jedzenie. Byliśmy po prostu zszokowani. Zgubiłam soczewkę i słabo widziałam, mąż Moniki zawiózł nas do optyka i kupił mi nowe soczewki z własnych środków. Byliśmy wzruszeni tym, że obcy ludzie tak się o nas martwią. Ale było nam też niezręcznie, bo przecież mają własne rodziny a wydają pieniądze na nas.

Rodzina, u której zamieszkaliśmy, to osobna, ciepła opowieść o naszym życiu. Nigdy bym nie pomyślała, że na świecie są tacy życzliwi, szczerzy ludzie. Mowa o pani Tatianie, jej mężu Romku oraz ich pięknych dzieciach i wnukach. Zaprzyjaźniłam się ich córką Olą. Pani Tatiana tak bardzo otoczyła nas swoją troską, miłością i szacunkiem, że nie czuliśmy się jak obcy. Wszędzie nas ze sobą zabierała, wszystkim nas przedstawiała. Nazywała mnie siostrą, to takie miłe dla mnie, ale bardziej odbierałam ją jak matkę, bo przy niej mój syn i ja żyliśmy bezpiecznie, w ciepłe i zaciszu domowym.

Jej mąż Romek był dla Nazara jak dziadek. Pamiętam jak pierwszego dnia poszedł do sklepu i kupił dwie identyczne zabawki – dla wnuczka i dla Nazara. Płakałam, bo było mi tak miło, że traktuje mojego syna na równi ze swoim wnukiem. Pierwsze święto, jakie miałam obchodzić w Polsce to urodziny mojego Nazarka. Znowu popłynęły łzy, bo mój mąż i dziadkowie są w Ukrainie, dzieli nas tysiąc kilometrów. Ale pani Tatiana z rodziną zorganizowała takie przyjęcie urodzinowe, że przez chwilę poczuliśmy się, jakby to była nasza rodzina, a nie obcy ludzie.

A propos, kilka dni temu Nazar powiedział, że chce znów obchodzić urodziny u cioci Tani, bo było wesoło. Później były święta wielkanocne, u nas, w Ukrainie nie ma takiego zwyczaju szukania wielkanocnego zajęczka, więc kiedy Nazar znalazł ten koszyk z prezentami, było tyle radości i wzruszeń, że trudno to opisać. Dla mnie emocje mojego dziecka były w tym momencie najważniejsze.

Dana, siostra mojego męża, postanowiła wyjechać do Anglii, my zostaliśmy, bo wierzyłam, że Ukraina wkrótce zwycięży i wrócimy. Zostaliśmy sami z Nazarem, martwiło mnie to, ale pani Tatiana, złota kobieta, nie pozwoliła nam się ani przez chwilę smucić.

Chodziliśmy na różne place zabaw. Pamiętam, że w dzień ukraińskiej Paschy, płakałam od rana – jestem tak daleko od domu. A tu pani Tatiana przygotowała pyszne śniadanie, potem poszliśmy do lasu na spacer i moje zmartwienia zniknęły. Ona wszystko rozumiała bez słów. Co do życia w ich rodzinie to też niezwykła sprawa – żyliśmy jak u siebie, nie mieliśmy żadnych ograniczeń. Nasz pobyt był wręcz komfortowy.

Najważniejsze było jednak wsparcie moralne. Po prostu brak mi słów, aby podziękować Nawrockim za to, że dali nam schronienie, kochali, przyjęli do swojej rodziny.

Minęły trzy miesiące naszego nowego życia w cichej, spokojnej, pięknej okolicy u dobrych ludzi. Wojna niestety się nie skończyła, ale w naszym mieście, Żytomierzu, zrobiło się jakby bezpieczniej, spokojniej. Zrozumiałam, że chcę do domu, bo tam jest moje życie, mój dom, który budujemy razem z mężem. Mam 38 lat i nie odważyłabym się rzucić wszystkiego, nie umiałabym całkowicie zmienić swojego życia. Moja ojczyzna to Ukraina, tu wszystko jest moje. Dlatego w czerwcu postanowiłam wrócić do domu.

Pamiętam dzień naszego wyjazdu, wszyscy byli w pracy, pakowałam swoje rzeczy i płakałam, bo pokochałam rodzinę Nawrockich jak własną. Ale zapewniałam samą siebie, że wojna się skończy i przyjedziemy do nich po prostu na urlop.

Pani Tatiana z córką i mężem odwieźli nas do autobusu i wyruszyłam z synkiem w podróż powrotną. To znowu była długa droga, ale daliśmy radę.

Cóż, co teraz powiedzieć o naszym życiu? Nie mogę powiedzieć, że jesteśmy całkowicie bezpieczni. Często wyją syreny i przelatują rakiety. Ale my jesteśmy Ukraińcami i musimy to przetrwać i wygrać tę niezrozumiałą wojnę.

Najważniejsze dla mnie jest to, że Bóg wprowadził mnie do tej wspaniałej rodziny, którą kocham bezgranicznie. Cały czas jesteśmy w kontakcie. Zawsze się o nas martwią, wspierają

nas pod każdym względem. Ich miłość rozgrzewa nasze serca. Pani Tatiana mówi, że w jej domu zawsze jest dla nas miejsce – na pewno po zwycięstwie przyjedziemy.

W ciągu trzech miesięcy mojego pobytu w Polsce nie przypominam sobie ani jednego negatywnego momentu. Polacy to piękni ludzie. Polska to piękny kraj.

Jako Ukrainka chcę wyrazić wdzięczność Polakom za to, że nas przyjęli i udzielili schronienia w trudnych dla nas chwilach. Wasze człowieczeństwo i dobroć stały się dla nas prawdziwym zbawieniem. Doceniamy Waszą odwagę i śmiałość, które wykazaliście przyjmując nas do swoich domach i zapewniając nam to, co niezbędne – wsparcie i pomoc. Takie gesty pokazują, że przyjaźń między naszymi narodami jest silna i nierozzerwalna oraz że możemy na sobie polegać w każdej sytuacji. Jeszcze raz dziękuję za człowieczeństwo i wsparcie.

Z poważaniem

Ukraińcy.

# Mariia Pavlenko

## To był jego wybór i nic na to nie poradzisz



Poszłam z przyjaciółmi na spotkanie zespołu. Nie miałem czasu kupić biletu, więc cały czas wypatrywałam przez okno kontrolera. Na jednym z przystanków autobus stał wyjątkowo długo. Słuchając muzyki w słuchawkach, patrzyłam przez okno na witrynę sklepu, gdy nagle poczułam na sobie wzrok. Gapił się na mnie jakiś facet.

Odwróciłam wzrok od okna, udając, że jestem bardzo zainteresowana moim telefonem, ale czułam, że wciąż na mnie patrzy. Wyglądało to tak komicznie, że z trudem powstrzymałam uśmiech. W końcu facet podszedł do okna, zobaczył, że słucham muzyki i zaczął kołysać głową w rytm, który zdawał się być słyszalny przez otwarte drzwi pobliskiego autobusu. Nadal się śmiałam, on też. Wtem drzwi się zamknęły, autobus pojechał dalej. Widziałam tego gościa po raz pierwszy i ostatni, bo prawdopodobieństwo, że się znów spotkamy, wynosi mniej więcej jeden do czterystu tysięcy, jeśli wierzyć bydgoskiemu spisowi ludności. Po kilku przystankach pomyślałam, że, jak w każdym romantycznym filmie, mogłam napisać mu swój numer na szybie albo pokazać mu przez okno jakiś portal społecznościowy. Przegapiłam swoją szansę. Jak wiele innych okazji przedtem.

Wcześniej życie wydawało mi się pozbawione możliwości. Miałam za mało pieniędzy w portfelu, doba miała za mało godzin – wszystko wydawało się za mało. Wojna wiele zmienia, powiedziałbym nawet, że za dużo.

Dwudziesty trzeci lutego. To była środa. To było nauczanie na odległość z powodu koronawirusa. Czy możesz sobie wyobrazić, że był kiedyś ten koronawirus? Wtedy największym

problemem wydawało się pójście do sklepu w maseczce. Nikt nie przypuszczał, że od jutra maseczki nie będą ważne i potrzebne.

Odsiedziałam swoje cztery obowiązkowe wykłady i poszłam na próbę do teatru. Nagraliśmy wideo na urodziny Szewczenki, świeciło słońce, było zaskakująco ciepło jak na luty. Przed próbą miałem jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Musiałem złożyć komuś życzenia urodzinowe.

Z tym "kims" zerwaliśmy jakieś dwa tygodnie temu z powodu pewnych nieporozumień w związku. Chciałam mu złożyć życzenia, bo w sercu miałam nadzieję, że do siebie wrócimy.

Stoję przed wejściem do jego akademika z czekoladową babeczką ze świeczką i kartką domowej roboty, którą narysowałam dwa dni wcześniej, czekam aż zejdzie na dół i palę ostatniego papierosa z paczki.

Wyszedł. Szybko schowałam wszystko za plecami.

– Zamknij oczy.

– Dlaczego?

– Zamknij, tak trzeba. Zamknął uśmiechając się przy tym ironicznie, jakby wiedział, co go czeka. Oczywiście, że wiedział.

Szybko zapaliłam świeczkę i zaczęłam śpiewać Happy Birthday. Uśmiechnął się szerzej, zdmuchnął świeczkę i przytulił mnie, a potem...

Ten pocałunek jeszcze długo mi się śnił. Ten niezrozumiały gest pojednania, który wtedy uznałam za dobry sygnał do przywrócenia z czasem tego, co zostało trochę zepsute. Ale następnego ranka okazało się, że nie mieliśmy czasu. Nikt tego nie miał.

W środę poszłam spać jako aktorka, studentka, zakochana młoda dziewczyna. Miałam marzenia, ambicje, realne możliwości.

W czwartek obudziłam się jako nikt, dziewczyna z okupowanego miasta. I wtedy naprawdę zdałam sobie sprawę, jak dużo miałam.

Potem – w ciągu jednego dnia – wypaliłam całą paczkę papierosów, a kolejne dni zwały się w jedną wieczną pętlę czasową, której nazwę znają wszyscy Ukraińcy – dwudziesty czwarty lutego!

Potem było pół roku okupacji. Miesiąc w schronie, kłótnie z orkami, wyjścia na dwór tylko z mamą po zakupy spożywcze, śmierć bliskiej przyjaciółki, przeprowadzka jej rodziny do innego kraju, odcięcie od cywilizacji, wiele napadów złości, strach o siebie, o przyjaciół, o bliskich, o wszystkich.

Przede wszystkim o niego, bo z uporem starał się, by wzięli go na ochotnika. I wzięli. To był jego wybór. Mój wybór był inny.

Po ukończeniu studiów wyjechałam z mamą do Polski. Spakowałyśmy rzeczy – całe nasze życie zmieściło się w czterech torbach – dwóch plecakach i dwóch walizkach. W domu nie zostały żadne rzeczy. Tylko serce zostało.

Przepraszam za tak długi wstęp, ale jak opowiadać historię, to od początku.

\* \* \*

Kiedy przeprowadziłam się do Bydgoszczy, moje serce było przepętnione głównie negatywnymi emocjami. Byłam tu bezpieczna, nie byłam głodna, nie było mi zimno, czego więcej trzeba do szczęścia?

Ale jakie tu mogło być szczęście?

Byłam w obcym kraju, w którym nikt się nie cieszył na twój widok. Byli ludzie gotowi rozerwać cię na strzępy, na cały autobus rzucający pod twoim adresem polskie przekleństwa.

Z czego się tu cieszyć, gdy tam ludzie umierają za ciebie!

Było wiele natrętnych myśli, które w okresie wielkiego smutku wypełniały moją głowę i zabijały w niej wszystko, co dobre.

Tak było, dopóki nie uświadomiłam sobie, ile szans straciłam.

Straciłam możliwość zadzwonienia do niej i usłyszenia jej głosu po raz ostatni.

Straciłam możliwość pogodzenia się z nim 23 lutego, a potem powiedzenia mu, jak bardzo go kocham.

Straciłam okazję, by zmienić myślenie orka, który nazwał moje miasto terytorium Federacji Rosyjskiej.

Może chociaż teraz, po utracie wszystkiego, co było wcześniej, mogę przestać bać się coś zrobić?

Boisz się iść na spotkanie do nowego klubu? Co to za różnica, że ktoś cię tam nie lubi?

To jest okazja do znalezienia nowych ludzi, a nawet przyjaciół. Skorzystałam z tej możliwości i bardzo się z tego cieszę.

Boisz się komplementować kogoś na ulicy?

Co za różnica, ona czy on może zapomnieć o tobie w ciągu pięciu minut, ale jest to okazja, aby rozweselić was oboje.

Boisz się iść na koncert?

Zebrałam się w sobie i dawaj do przodu, piosenka też może otworzyć nowe możliwości.



Zaproponowano mi wyjazd w roli wolontariuszki na obóz do innej części Polski. Zgadzam się, nawet nie myślę o odmowie! Zawsze o tym marzyłam!

I to jest naprawdę jedyna zasada, jaką sobie tutaj wyznaczyłam. Każda chwila, każdy wybór, jakiego dokonujemy, to szansa na zrobienie kroku w kierunku spotkania z czymś większym, a może nawet lepszym. Najważniejsze jest, aby dokonać tego wyboru na czas, aby później nie żałować, że się go nie dokonało.

– To jego wybór. – powiedziała mama, gdy chodziło o tamtego chłopca.

I rzeczywiście tak było.

To był mój wybór, aby odejść, to był mój wybór, aby odpowiedzieć na ten pocałunek, to był mój wybór, aby nakrzyczeć na jego brygadę, to był mój wybór, aby nie odpowiadać facetowi w autobusie tego dnia. A teraz mój wybór jest taki.

Nie wolno przestawać. Po każdym upadku można się podnieść, po każdej porażce można zwyciężyć. Gdy zamykają się jedne drzwi, gdzieś otworzą się lepsze. Chwytaj każdą szansę zębami, jakby to była ostatnia rzecz, jaką możesz zrobić. Jakby to był twój tlen, bez którego nie istniałbyś.

Czy ludzie umierają za mnie na mojej ziemi? Wiem o tym.

To są moi rówieśnicy.

To są moi bracia.

To są moi przyjaciele.

To jest mój kurator.

To jest mój przyjaciel.

To jest moja ukochana osoba.

I dlatego nie mam prawa się tu dąsać. Muszę udowodnić, że mają o co walczyć. Że mamy świadomą młodzież, że jest w nas miłość do naszej Ojczyzny. Nawet, gdy jesteśmy za granicą. Zawsze znajdzie się tu coś, co przypomni mi o rodzinnym mieście. Te domy z paneli w dużych osiedlach – sypialniach miasta, te rzeki, ta zieleń. Tylko niebo nie jest podobne do tego rzeczywistego. Bez względu na to, jak bardzo próbowałam znaleźć na niebie tę samą konstelację, którą widziałam w domu, nie mogłam jej znaleźć. Tu jest za dużo chmur. I deszcze. I śnieg. I za mało ciepła.

Choć w pół roku udało mi się naprawdę pokochać Bydgoszcz, ona nigdy się nie dowie, jakie potrafią być letnie upały na południu Ukrainy. I nie potrzebuje wiedzieć, bo to jej wybór.

# Olga Terekhova

## Przerazający spokój



Rozglądając się, trudno było dokładnie zrozumieć, gdzie jest „tutaj”. Gęsta mgła przestaniała widoczność dalej niż na wyciągnięcie ręki. Oczy łzawiły, co redukowało widzenie niemal do zera. Niezrozumiały szum po chwili przeszedł w nieprzyjemną kakofonię dźwięków, ale były one niczym w porównaniu z głośnym,

oszałałym biciem serca. I do tego dzwoniło mi w uszach.

Trudno było nie poczuć wstrząsu, który zwałił mnie z nóg na brudną ziemię. Skulona atakiem ostrego kaszlu, próbowałam resztkami sił wstać z kolan bez połknięcia kilku grudek ziemi. Krew spływała z podartych kolan. Jednocześnie przecierałam oczy dłońmi.

Mgła, która w rzeczywistości okazała się dymem, nieco się rozproszyła. Gorzkie i gorące powietrze stawało się bardziej czyste i wypełniało płonące płuca tak potrzebnym teraz tlenem. Dzwonienie w uszach, które zaczęło stopniowo zanikać, zostało zastąpione mrozącymi krew w żyłach krzykami i wyciem syren. Powtarzający się dźwięk rozbrzmiewał bólem w uszach i karmił mózg przerażeniem, które wydawało się być wiecznym.

Głośno łapałam powietrze, a moje serce, które waliło jakby jeszcze szybciej, rozprawdzało po żyłach gorącą krew krzycząc: „Biegnij, no dalej, pospiesz się, nie mamy czasu!”. Choć wezwanie przekraczało ludzkie siły, choć nogi odmawiały posłuszeństwa, ruszyłam napinając mięśnie i walcząc z tępym bólem.

Tymczasem szary i ciągle niewyraźny krajobraz został zastąpiony widokiem – chociaż ciągle jeszcze nieostrym i zamazanym, ale już przerażającym. Były to ruiny. Czarne, zwęglone, a miejscami aktywnie płonące ruiny. Szkielety budynków majaczyły jako niekompletne sześciany lub po prostu stosy gruzu budowlanego. Miejscami widać było jaśniejsze punkty. To byli ludzie.

Ci, którzy nie zdążyli wyjść albo ci, którzy nie zdążyli wejść – nie miało to znaczenia.

Przytłaczająca większość to były tylko ciała, z których spływała na ziemię jasna szkarłatna krew. Widok boleśnie porażający. Nie było jednak czasu na smutek i przygnębienie – trzeba było uciekać.

Biegnij, biegnij przed siebie, gdzie, wydaje się, widać ocalałe dachy budynków, skąd słychać krzyki – ktoś prosi o pomoc, a ktoś po prostu krzyczy, gniewnie i gorzko przeciągając dźwięk „a”, jakby miał problem z więzadłami głosowymi, przez co dźwięk nabiera ochrypy, wyraźnie stłumionych nut.

Serce biło coraz głośniejsze, przekonując, że nie wszystko stracone, ale chwila – i przed oczami mignął mi jasny błysk. Boleśnie jasny, jakby supernowa narodziła się na twoich oczach – czujesz ciepło, nie, nie ciepło, płonący ogień, niosący ze sobą ból. To płomień zdziera skórę, w mgnieniu oka dociera do mięśni, zlizuje krew, która wypłynęła ostrymi językami.

Świadomość wciąż żyje, choć trudno w to uwierzyć.

Mimo obrzydliwego stanu, mimo zalanych krwią oczu, siły płynące z samego serca pomagają wstać i iść dalej, w próżnej nadziei zobaczenia kogokolwiek – niech ten ktoś krzyczy, niech wybucha głośnym płaczem.

Jednak wokół była tylko nienaturalnie martwa cisza i popiół. Ogień zniknął, zabierając rozpacz...

Ciszę przerwał miażdżący krzyk...

Oszabiona, leżę na łóżku z krzykiem zamrożonym na ustach. Znow się powtórzyło. Koszmary, depczące po piętach, realistyczne, jaskrawe, obrzydliwie obrzydliwe – znow wróciły. Nie wracają co noc, ale odwiedzają mnie regularnie. Wtedy serce boleśnie się kurczy, a usta łapczywie chwytają powietrze, jakby właśnie w tej chwili miał zostać zablokowany dostęp do oddychania.

\* \* \*

Wydawać by się mogło, że po ucieczce jak najdalej i otrzymaniu lepszego życia nie będę rozpamiętywać krótkiego epizodu z przeszłości. Daleko jednak do tego. Snom niczego nie nakażesz. Senna fantazja działa i przeraża.

Chociaż około czwartej rano na twarz pada głęboki cień lutowej nocy, świadomość, że to się działo naprawdę, sprawia, że rutynowo zaczynam dzień od środka uspokajającego. To najprostsza rzecz, jaką można było znaleźć, żeby serce nie biło tak ogłuszająco głośno, a ręce nie trzęsły się od nieprawdziwych, ale nie mniej okropnych obrazów narysowanych przez głupią

senną fantazję. Ostatnio musiałam je brać częściej – wyzwalacze, jakby na złość, pojawiały się w najbardziej nieodpowiednim momencie, raz po raz wracałam do tej strasznej nocy.

To było strasznie niesprawiedliwe. Nigdy wcześniej nie miałam koszmarów. Ale i wyzwalaczy nie było.

Żeby funkcjonować, starałam się wprowadzić do codzienności jakiś porządek – schowałam głęboko życiowe plany, odrzuciłam wszelkie wspomnienia – bałam się, że te niepożądane wyjdą na wierzch jak niewłaściwie zakopane zwłoki na wiosnę.

Niestety, czasem nocą wychodziły.

Moje myśli miały wtedy kolor brudu. Mruganiem powstrzymując łzy, łapczywie wdychałam powietrze. Ratunkiem byłoby robić coś pożytecznego, ale ja nie miałam nawet siły wstać. Marzyłam, by upaść na podłogę i spać przez całe stulecie. Żeby było jak w baśni – złe rzeczy przemijają i nadejdzie dobre zakończenie, kiedy to księżniczkę obudzi pocałunek prawdziwej miłości.

Kiedy nie jesteś księżniczką, nie powinnaś mieć jednak nadziei na magiczny sen. Sił, by wstać, ciągle nie ma, zagryzam wargi do krwi, oddech ciągle jest ciężki. Wstawanie po nocnym koszmarze, kiedy ciało jest zwiotczone i słabe, jak rozmrożony filec rybny, jest jeszcze trudniejsze niż po dwunastogodzinnej zmianie.

Z jękiem wychodzi się z objęć ciepłego łóżka, kości protestująco chrzęszcząc, jakby mówiły „nie powinnaś na nas polegać”, usta wykrzywiają się w cienkim fałszywym uśmiechu.

W tym rytuale było dużo goryczy, ale pojawiało się też coś miłego. Lista porannych czynności, niezmiennych od czasów młodości, wnosi jasność i stabilność. Rozciągam się, nabieram siły, dzięki czemu twarz przynajmniej na chwilę się rozluźnia, a ruchy tracą swoją zwykłą sztywność. Sącząca się z telefonu muzyka rozbija ciężką poranną ciszę – w ucho wpada słodki i przeciągający się głos Freddiego Mercury'ego. Trudno się nie uśmiechnąć. Normalnie, jak to wczesnym porankiem.

Aż do pierwszego huku albo przejeżdżającej karetki.

A potem znowu spokój, pachnąca herbata z cynamonem, gorąca grzanka, lepka jak miód, niemożliwa bez Queen.

Spokój – rzadki gość szarej codzienności, łyżka miodu w beczce dziegciu.

# Lidiia Zinchenko

## W mrocznych czasach dobrze widać jasnych ludzi



Od prawie roku mieszkam w Polsce. Kiedyś byłoby to dla mnie ekscytujące. Zawsze chciałam podróżować do innych krajów, poznawać ich kulturę, poznawać nowych ludzi i odkrywać świat. Jednak do Polski przywiodło mnie najstraszniejsze wydarzenie w życiu każdego Ukraińca – wojna. Więc znalazłam się tutaj, niestety, nie z własnej woli.

Droga do bezpieczeństwa była trudna i długa. Odważyć się opuścić dom – mimo ciągłych eksplozji i gróźb – to było trudne. Na początku nasza rodzina przeniosła się z frontowego Zaporozża na zachód Ukrainy,

ale niestety dla rosyjskich rakiet kilometry nie są ważne. Wkrótce i tam zastała nas wojna. Razem z siostrą zdecydowałyśmy, że trzeba ruszyć dalej, zabrać dzieci i rodziców w bezpieczniejsze miejsce.

W Polsce nasze rodziny czekało nieznanie. Nie znaliśmy języka, nie mieliśmy znajomych, jechaliśmy do małego polskiego miasteczka, gdzie mieszkała nasza sąsiadka z dziećmi. Byli gotowi nas tam przyjąć. I tak wylądowaliśmy w domu Gosi i jej rodziny. Ta kobieta zapewniła nam mieszkanie, wyżywienie i zrobiła wszystko, abyśmy mogli przystosować się do nowego życia. Stopniowo udało nam się sprowadzić do Polski większą część rodziny.

Choć jesteśmy bezpieczni, wojna zawsze z nami pozostaje. W Ukrainie został bowiem mąż i starsza córka mojej siostry, nasz dom, nasze plany i całe życie, które Rosja wciąż próbuje zniszczyć.

Kiedy jeden sąsiad próbuje cię zabić, inny otwiera ci drzwi swojego domu, aby ogrzać, aby pomóc, aby chronić życie twoich dzieci.

Wasz kraj jest bliski nie tylko ze względu na wspólną granicę, on stał się bliski każdemu Ukraińcowi. Podczas gdy polscy politycy przekazują nam broń i walczą o Ukrainę na arenie międzynarodowej, zwykłe polskie rodziny ratują nas, ukraińskich uchodźców.

Ten rok był trudny, ale życie toczy się dalej. Musieliśmy zmienić zawód i odłożyć marzenia na później – pracujemy w lokalnej fabryce, a syn chodzi do polskiej szkoły. Nie wiemy, co będzie jutro, ale uczymy się stawać na nogi, szukać dobra tu i teraz.

Nasze małe miasteczko Laskowice jest szczególnie piękne zimą. Ośnieżone drzewa często kojarzą nam się z naszą rodzimą Ukrainą. Moje najmilsze wspomnienie – domy udekorowane jasnymi lampkami na Boże Narodzenie i wielka choinka, którą razem dekorowaliśmy. W oknach tych domów widać było przytulność i ciepło rodzinnego ogniska, które przypominało dom.

Z naszymi polskimi przyjaciółmi mówimy różnymi językami, ale to nie przeszkadza nam dobrze się rozumieć. Oni rozumieją nasz ból i naszą tragedię i są gotowi otworzyć swoje serca.

24 lutego, gdy wybuchła wojna na pełną skalę, uciekliśmy, ratując życie, w nieznaną. A tam, po drugiej stronie granicy, Polacy stworzyli dla nas mocne zaplecze, które do dziś jest naszym wsparciem.

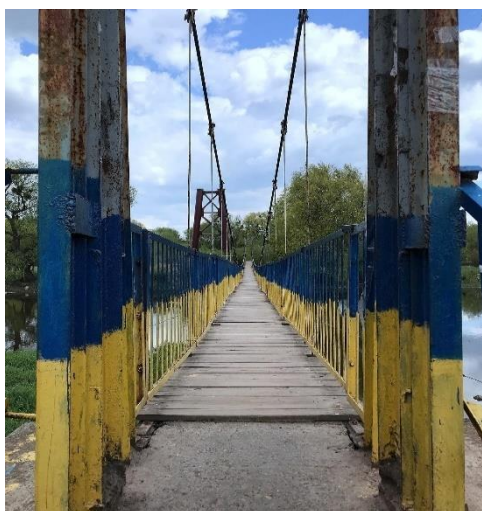
Oczywiście, życie w obcym kraju jest niewyobrażalnie trudne. Nie mam wątpliwości, że przyjmowanie uchodźców też nie jest łatwe. Jednak Polacy odważyli się. I to nas uratowało. Bez Waszego wsparcia ten rok byłby to o wiele trudniejszy. Ale na tle wojny wszystkie nasze problemy wydają się nieistotne. Ważne, że Ukraina żyje, że Ukraina walczy. Chociaż każdego dnia zmagamy się z różnymi naszymi problemami, to na pewno wytrwamy.

Nasza polska przyjaciółka Gosia bardzo lubi, kiedy robimy dla niej pierogi. Zresztą to danie jest tradycyjne dla obu naszych krajów.

Wierzę, że wkrótce wygramy i nasz dom znów będzie bezpieczny. Wtedy przyjdzie kolej Ukrainy na przyjęcie Polaków – zawitają do nas starzy przyjaciele. Będziemy wspólnie świętować zwycięstwo, zrobię oczywiście dla wszystkich nasze pierogi.

W mrocznych czasach bardzo dobrze widać jasnych ludzi. W naszej strasznej ciemności zobaczyliśmy dobroć Polaków. I nigdy jej nie zapomnimy.

## Wspomnienia uchodźcy



24 lutego 2022 roku obudziłem się o 5.00 rano. Telefon grał się od wiadomości, że zostaliśmy zaatakowani. Wszędzie rozbrzmiewało: Rosja zaatakowała Ukrainę. Kadry, które pokazywano wszędzie, były okropne, ponieważ wojna dotknęła niemal każdego zakątka Ukrainy. W pierwszych minutach starałem się zrozumieć, co się dzieje i realnie ocenić sytuację. Dziś nie rozumiem, jak mogłem to robić w tamtym momencie.

W dniu wybuchu wojny mieszkaliśmy z rodziną w Siewierodonecku, mieście leżącym na linii frontu w obwodzie ługańskim. Ja, moja żona i nasze dzieci tam się urodziliśmy i wychowaliśmy. Piszę tę historię ze łzami w oczach. Same płyną na wspomnienie dobrych chwil spędzonych w naszym – utraconym w czerwcu 2022 roku, po czterech miesiącach zaciętych walk z Rosjanami – mieście.

Przywołuję w pamięci wcześniejsze wydarzenia, te z 2014 roku, kiedy to nasze miasto zostało zajęte przez ŁRL<sup>2</sup>. Wtedy starałem się zachować spokój i żyć dalej, bo nasi rodzice, emeryci, mieszkali z nami. Teraz żona ciągle pytała, co powinniśmy zrobić? Nie miałem odpowiedzi. Zebrałem się, wziąłem psa i wyszedłem na spacer, mając nadzieję, że coś wymyślę. Salwy armatnie słychać było na całej ulicy – walki toczyły się kilkadziesiąt kilometrów od nas. Wszędzie kłębił się tłum ludzi, choć na zegarze była dopiero siódma rano. Nikt nie wiedział, co robić. Ludzie stali w kolejkach do sklepów i bankomatów. Wszyscy się spieszyli i tylko nieliczni spokojnie szli do pracy, jakby nic się nie stało.

---

<sup>2</sup> ŁRL - Ługańska Republika Ludowa – państwo utworzone w 2014 przez prorosyjskich separatystów na terytorium Ukrainy [przyp. red.]

Zaczęły napływać komunikaty od Serhiya Haydaya, gubernatora obwodu ługańskiego o pilnej ewakuacji ludności z obwodu i zorganizowaniu pociągu ewakuacyjnego. Jako pierwsi, w pośpiechu wyjeżdżali z miasta mieszkańcy Ługańska. Oni już raz opuszczali swoje domy, w 2014 roku. Wiedzieli, że trzeba działać szybko.

Wojna przychodzi niespodziewanie i nie puka do drzwi. Niszczy nie tylko ludzkie plany na przyszłość, ale wymazuje samą przyszłość. Tak też stało się z naszą rodziną – dużo pracowaliśmy na lepsze życie i znaleźliśmy się w takim jego momencie, gdy chcieliśmy po prostu odpocząć – wypuścić z siebie wszystko, co nagromadziło się w nas podczas tego szalonego wyścigu. W dniu wybuchu wojny byliśmy zmęczeni i pogubieni. Postanowiłem nie spieszyć się z ewakuacją, tylko zrobić plan dalszych działań, bo zawsze można popełnić błąd w pośpiechu. Poszedłem do znajomego, który ma własny sklep spożywczy. Na szczęście w pierwszych godzinach wojny w tym małym sklepiku nie było zbyt wielu gości. (Właśnie sobie przypomniałem, że sklep miał nazwę „ARBAT”, jak jedna z centralnych ulic Moskwy.) Zamiast powitania, usłyszałem pełne ekscytacji „zaczęło się”. Przyjaźniłem się z nim od dzieciństwa, a teraz okazał się separatystą i zwolennikiem Putina. Przystałem się z nim kontaktować. Niestety, połowa mieszkańców naszego miasta to separatyści, którzy otwarcie lub skrycie popierali Rosję.

Pod wpływem ogólnej paniki zdałem sobie sprawę, że potrzebuję gotówki i zapasu żywności. Na szczęście bankomaty działały, a w sklepach były nadwyżki produktów. Kupcy wykorzystali ten moment i próbowali sprzedawać, ale niewielu akceptowało karty kredytowe, nawet we wczesnych godzinach wojny. W tym momencie pieniądze nie były już tak ważne jak produkty. Zacząłem hurtowo kupować konserwy, czekoladę i wodę. Wiedziałam, że to wszystko przyda się nie tylko mojej rodzinie, ale także innym, bo ludzie będą potrzebować pomocy. Mam doświadczenie w handlu, więc od razu było dla mnie jasne, że produkty w końcu znikną ze sklepów, a pieniądze stracą na wartości. Nie skąpiłem, ale starałem się działać i wydawać rozsądnie.

Potem poszedłem do dentysty, z którym byłem umówiony na wyrwanie zęba mądrości. Mówił, że nie wierzy w wojnę. Więcej go nie zobaczyłem – kontrolę rany kilka dni później przeprowadziła pielęgniarka, między kolejnymi ostrzałami miasta.

Gdy wróciłem do domu, żona zaproponowała całej naszej rodzinie nocleg u jej krewnych w starej części miasta – mieli zadbaną piwnicę tuż przy wejściu do dwupiętrowego domu. Zgodziłem się, spakowaliśmy podstawowe rzeczy i zamieszkaliśmy u krewnych.



Seniorzy byli w pozytywnych nastrojach, z ożywieniem dyskutowali o bieżących sprawach i grali w gry planszowe. Niestety, zaraz pierwszej nocy z powodu ostrzału musieliśmy uciekać do piwnicy, chociaż samo miasto nie było jeszcze ostrzelane, tylko okolice.

\* \* \*

Ludzie niechętnie opuszczali miasto, wielu zostało, planując przeczekać wojnę. Przez kilka pierwszych dni sklepy, apteki i szpitale były otwarte. Moja żona, lekarka na oddziale położniczym, pracowała 24 godziny na dobę, bo były z koleżanką tylko we dwie na całe miasto. Odprowadzałem ją do pracy i po nią przychodziłem. Ostrzał nie ustawał, ale w ciągu pierwszych trzech dni wojny na miasto nie spadły żadne pociski. Codziennie poruszałem się po mieście pieszo, starając się zaopatrzyć w leki i produkty. Codziennie chodziłem do naszego mieszkania – stopniowo przenosiłem do krewnych dobytek rodziny. Droga do domu trwała około godziny, po drodze kupowałem świeże pieczywo, piekarnia wciąż jeszcze pracowała.

Wielu bało się wyjść na zewnątrz, ale nie ja. Podobało mi się to, czułem się potrzebny. W mieście pojawił się ciężki sprzęt wojskowy naszych obrońców. Wysłano do nas brygadę „Cyborgów” (2000 ludzi) do ochrony lotniska w Doniecku, co napawało optymizmem. Panika stopniowo ustępowała – rosyjski blitzkrieg nie powiódł się. Zdałem sobie sprawę, że nie tak łatwo podbić miasto, zniszczyć je. Nasi obrońcy dzielnie bronili Ojczyzny.

W tym samym czasie w mieście Szczęścia, leżącym 70 km na wschód od naszego miasta, toczyły się ciężkie walki. Na ulicach Siewierodonecka pojawiło się wielu obcych, uciekinierów z miejscowości leżących na linii frontu, a wraz z nimi naprowadzacz ognia. Poruszając się ciągle po mieście, zauważyłem podejrzane zachowanie nieznajomych, którzy otwarcie obserwowali ruch ukraińskiego sprzętu. Wszystkie informacje wielokrotnie przekazywałem na miejscu naszemu wojsku. Było widać, że naszemu miastu brakuje obrony terytorialnej.

Trzeciego dnia wojny, wracając z domu do bliskich, zgodnie z tradycją zajrzałem do piekarni. W ciągu 30 minut, które spędziłem w kolejce, nastąpił ostrzał morderczy dzielnic mieszkalnych miasta. Być może ta kolejka uratowała mi życie, ponieważ jedna z min wybuchła na drodze, którą zawsze wracałem do domu. Od tego momentu poważniej zacząłem traktować to, co się dzieje, chociaż ciągle jeszcze ignorowałem ostrzały. Niestety, zaczęły napływać wieści o rannych mieszkańcach miasta i pierwszych ofiarach, a nocami było na tyle niespokojnie, że zaczęliśmy je spędzać w piwnicy.

Pewnej nocy obudził mnie głośny wybuch, mina wleciała do sąsiedniego domu, oddalonego od nas o 20 metrów. Moja rodzina była w tym czasie piwnicy, żona w pracy – przyjmowała poród w schronie na porodówce.

Moi rodzice mieszkali w jednym z pierwszych domów na obrzeżach miasta. Wszystkim mieszkańcom skrajnych budynków nakazano opuszczenie mieszkań. Wojsko zajęło pozycje obronne właśnie w mieszkaniach. Rodzice odmówili przejazdu do rodziców żony i spędzili noc w mojej dawnej szkole. Spali na podłodze.

To oni poinformowali mnie, że czwartego dnia mój kolega z klasy i przyjaciel z dzieciństwa zmarł od rany postrzałowej, gdy zignorował rozkaz – Stój! wydany przez ukraińskie wojsko po podejrzeniu go o przekazanie danych wrogowi.

W piwnicach panowała smutna atmosfera. Starsi ludzie wpadali w panikę i nie panowali nad emocjami, dzieci się bały, nie pomagały żadne zapewnienia ze strony dorosłych.

Ludzie pokazywali swoje prawdziwe twarze, zmieniali pozycje i czekali na – kończące wojnę – zwycięstwo którejs z stron.

Stało się jasne, że musimy opuścić miasto, ale nie byliśmy jeszcze na to gotowi. Rodzice żony nie chcieli słyszeć o wyjeździe. Żona wciąż jeszcze pracowała.

Ósmego dnia wojny, gdy była w pracy, zabrałem synka i poszliśmy do znajomych się wykąpać. W mieście były już problemy z wodą, a oni mieszkali niedaleko – kilometr od nas, w prywatnym domu i mieli własną łaźnię. Chciałem też, żeby mój syn trochę się odprężył, rozmawiając z przyjaciółmi.

Okolo 16.00, kiedy już wracaliśmy, trzysta metrów od naszego domu, rozpoczął się ostrzał rakietowy. Słyszeć było dźwięk zbliżających się rakiet. Nie było ich widać, słyszeć było tylko huk – jakby strzały i świst, który wzmagał się, jakby gęstniał, gdy rakiet spadła. Od razu krzyknąłem do syna, żeby uciekał, byliśmy między domami, na otwartej przestrzeni. To było straszne – przez moment wyobraziłem sobie, że nie damy rady ukryć się przed rakieta – jej promień rażenia wynosi kilkadziesiąt metrów! Moje nogi były skamieniałe ze strachu, ruszyliśmy jednak w stronę domów, oddalonych o jakieś 60-70 metrów. Dobiegliśmy w ciągu kilku sekund do pierwszego z nich, zaczęliśmy pukać. Wpuścili nas do piwnicy. Spędziliśmy w niej godzinę. To był najpotężniejszy ostrzał miasta od początku wojny. Mieliśmy jednak szczęście – rakiety, chociaż wydawało się, że lecą prosto na nas, eksplodowały w sąsiedniej dzielnicy.

Przez cały ten czas moja żona umierała ze strachu o nas, a potem przeklinała mnie za mój czyn.

Wyjechaliśmy z miasta następnego dnia, 4 marca, z dziećmi, moimi rodzicami (rodzice żony odmówili wyjazdu) i psem na rękach, małym samochodem załadowanym wszystkim, co wpadło nam w ręce. Mieliśmy też dla każdego jedną torbę jedzenia. Niestety, w mieście został prawie cały dobytek. Żona i dzieci, które 24 lutego poszły w sportowych strojach na jedną noc do dziadków, już nigdy nie zobaczyły swojego domu.

Z miasta była tylko jedna droga wyjazdowa. Uciekaliśmy pod ostrzałem, ale mieliśmy szczęście. Pamiętam to uczucie wolności, kiedy, siedząc zza kierownicą, przejechałem przez blokadę w Kreminnej, 40 km od naszego miasta. Zaczęliśmy rozmawiać i poczuliśmy się, choć w małym stopniu, bezpieczni.

Podróż na Zachodnią Ukrainę trwała 4 dni. Noce spędzaliśmy na podłodze w szkołach. W tamtym momencie najważniejsze w naszym życiu były miękki materac i ciepła woda, żeby można było wziąć prysznic. Naszą drogę nazwałem drogą wolności. Wszędzie pomagali nam wolontariusze i dobrzy ludzie. Cała Ukraina była zjednoczona w walce ze złem. W Zachodniej Ukrainie byliśmy dwa tygodnie, potem – ze względów bezpieczeństwa – zdecydowaliśmy, że trzeba jechać dalej, do Polski.

Od tych tragicznych wydarzeń minął już prawie rok. Ku naszej radości latem dołączyli do nas rodzice żony. Cała nasza rodzina mieszka w Toruniu – pomogła nam polska rodzina lekarzy, chcieli pomóc ukraińskiej rodzinie z dziećmi. Udzielili nam schronienia, pomogli żonie w pracy, rodzicom w znalezieniu mieszkania. Stali się nam bardzo bliscy i nadal nam pomagają. W tej chwili rozumiem, że w Polsce jest wielu życzliwych, szlachetnych, wrażliwych i bezinteresownych ludzi. Bardzo dziękuję, Polacy, dziękuję w imieniu całej mojej rodziny.

Nasza rodzina przeszła trudną drogę – depresja i załamania nerwowe nie ustają do dziś. Ratuje nas to, że oboje z żoną pracujemy, aktywnie uczymy się języka polskiego, więc wolnego czasu praktycznie nie ma. Zacząłem pomagać ukraińskim dzieciom z matematyką, bo sam ją bardzo dobrze znam. Nasze dzieci nie tylko chodzą do szkoły, ale zintegrowały się już ze środowiskiem polskich rówieśników. 24.02.2023 roku (co za data!) mój syn zdobył brązowy medal w zapasach na Mistrzostwach Polski w Poznaniu. Z powodzeniem gra w regionalnych turniejach piłkarskich. Wspominamy Ukrainę ze smutkiem, serca napełniają się łzami, ale po serii trudnych doświadczeń wojennych nasza rodzina zyskała drugie narodziny. Musimy żyć dalej, uczyć się, rozwijać i nie poddawać się, bo naszą przyszłością są nasze dzieci i musimy być dla nich godnym przykładem. Przykładem stabilności, odwagi, dumy i mądrości, z Ukrainą w sercu.

Chwała Ukrainie!

# Yana

## W Polsce



Mam na imię Yana. Wtedy, gdy w moim pięknym życiu pojawił się "ruski mir" miałam 25 lat, męża i 3-letnią córkę. Mieszkaliśmy w Charkowie.

Pracowałam, zgodnie z moim powołaniem, jako położna w prywatnej klinice leczenia niepłodności. W wolnym czasie moim hobby było pieczenie ciast. Moja rodzina była szczęśliwa.

24 lutego 2022 roku między czwartą a piątą rano obudziły mnie eksplozje.

Nie rozumiałam, co się stało. Mieszkamy na obrzeżach Charkowa po stronie granicy z Rosją, więc eksplozje, dochodzące ze strefy przygranicznej, były bardzo głośne. Obudziłam męża, w panice zaczęłam mówić, że chyba zaczęła się wojna. Próbował mnie uspokoić, mówiąc, że to może fajerwerki. Chwilę potem wybuchy zaczęły się w mieście, wydawały się jeszcze bliższe i głośniejsze. Mąż mnie przytulił, patrzyliśmy chwilę na blask. W internecie przeczytaliśmy, że Rosja rozpoczęła inwazję na pełną skalę. Zrozumieliśmy, że naprawdę zaczęła się wojna. W tym czasie córka spokojnie spała, bo rano miała iść do przedszkola. Nie mogliśmy sobie nawet wyobrazić, co nas czeka dalej, wszystkie nasze plany i marzenia legły w gruzach, wraz z rykiem i blaskiem, który stopniowo zniknął z szarzejącego o świcie nieba.

W panice zaczęliśmy dzwonić do naszych krewnych, którzy mieszkali w różnych częściach Charkowa, wszyscy mówili o wybuchach, choć nikt nie chciał w nie uwierzyć. Spakowaliśmy walizkę alarmową z dokumentami i najpotrzebniejszymi rzeczami. Nie wiedzieliśmy, co nas dalej czeka i ta niewiedza była przerażająca! Szczególnie martwiłam się o dziecko. Łzy rozpacz i strachu lały się strumieniami, nie wiedziałam, jak dalej żyć.

Pakując rzeczy, najpierw chciałam zabrać niemal wszystko, bo każda rzecz jest wspomnieniem lub częścią życia, jest droga i ważna dla mnie. Po godzinie okazało się jednak, że życie można zapakować do jednej walizki...

W Charkowie już od samego rana zaczął się chaos. Ludzie biegali w panice, niektórzy do bankomatu, żeby wypłacić gotówkę, inni po zakupy, jeszcze inni, jak mój mąż, żeby zatankować samochód. Korki i kolejki były wszędzie. Transport publiczny był przepełniony ludźmi, ponieważ metro zaczęło służyć jako schron przeciwbombowy. Zaczęli do mnie dzwonić z kliniki, prosząc, żebym przyszła do pracy. Mężowi, po czterech godzinach w kolejce, udało się zatankować pełen bak benzyny, więc około dziesiątej rano zawiózł mnie do pracy i został z dzieckiem, bo przedszkola już były nieczynne.

Przychodnia przyjmowała tego dnia kobiety w ciąży, które były zapisane i pozostały w mieście. Sprawny przebieg wizyt zakłócał brak lekarzy – wielu nie mogło się dostać do pracy z powodu tłoku w środkach komunikacji miejskiej i korków. W środku dnia wybuchy były już dość blisko, w centrum miasta. Aby nie narażać lekarzy i kobiet w ciąży, zaczęliśmy przekładać wizyty w nadziei, że za kilka dni ten horror się skończy. Pracownicy, którzy mieszkali w pobliżu kliniki, dyżurowali codziennie – zapewniali kobietom leżącym na patologii ciąży niezbędną opiekę medyczną. Kiedy wybuchy były już tak bliskie, że szyby się trzęsły, a strach ogarniał każdą komórkę ciała, postanowiono definitywnie zakończyć przyjęcia i martwić się o własne bezpieczeństwo.

Wyjechaliśmy z rodziną za miasto, do mamy. Droga, która zwykle zajmowała godzinę, tym razem zajęła ponad trzy. Na drodze w obu kierunkach pełno było sprzętu wojskowego, czołgów i ludzi w mundurach z karabinami maszynowymi. Widzieliśmy coś takiego po raz pierwszy. Byliśmy przerażeni, zwłaszcza córka, chociaż nie do końca rozumiała, co się dzieje. Kiedy dotarłam do domu mojej mamy, która mieszka 56 km od Charkowa, poczułam się bezpiecznie.

W kolejnych dniach do domu mamy zaczęła przyjeżdżać rodzina i przyjaciele, uciekający z Charkowa przed wybuchami i ostrzałem. W małym domku było sześcioro dorosłych, dwoje dzieci, dwa psy i inne zwierzęta domowe, których nie można było zostawić. Panowała bardzo napięta atmosfera, wszyscy byli zdenerwowani, przestraszeni i w strachu przed nieznanym, do którego prowadziło nas życie. Wybuchy, które wcześniej słyhać było gdzieś daleko, przybliżyły się. Mój mąż, ojciec i inni mieszkańcy wsi utworzyli obronę terytorialną wsi i dzień i noc pełnili służbę. Z każdym dniem, z każdą nadchodzącą nocą czułam się gorzej – nie mogłam spać,

byłam w takim nerwowym napięciu, że kilka razy wybiegałam na dwór, aby nasłuchiwać, czy eksplozje się nie zbliżają. Otaczał mnie strach o dziecko i nasze życie. Z czasem nad naszą wioską zaczęły latać myśliwce, to było przerażające. Nie życzę nikomu, by musiał doświadczyć tych uczuć: kiedy słyszysz szum, upadasz na podłogę bez względu na to, gdzie jesteś i co robisz; bo nie wiesz, czy to nasz samolot, czy wroga; zasłaniasz sobą dziecko, bo nie wiesz, czy niesie raketę gdzieś dalej, czy zrzucą ją na twoją wioskę, gdy już niemal czujesz ten wybuch, huk cichnie, rakietę leci dalej.

Z tego życia w ciągłym stresie i nerwach mój stan psychiczny i fizyczny stawał się coraz gorszy. Nie tylko mój – w domu coraz częściej wszyscy kłóciliśmy się ze sobą, nie potrafiliśmy zapanować nad strachem i emocjami.

Coraz częściej słyszeliśmy od znajomych, że wyjechali z dziećmi do sąsiednich krajów.

Dopóki jest taka możliwość, powinnam też pojechać z dziećmi w bezpieczne miejsce, ale bardzo trudno było mi podjąć decyzję, tu był mój mąż i bliscy. Przepełakałam wiele godzin, ale w końcu, po zebraniu myśli i zastanowieniu się nad bezpieczeństwem dziecka, postanowiłam pojechać rankiem następnego dnia do Charkowa, na dworzec. Czekala nas daleka droga nie wiadomo dokąd. Jedynym pocieszeniem było to, że nie podróżowałam sama, ale z siostrą męża, a także z moją najlepszą przyjaciółką, jej dzieckiem, jej matką i matką chrzestną.

Przyjechałyśmy na stację rankiem 16 marca 2022 r. Na peronie znajdowała się niesamowita liczba kobiet z dziećmi i zwierzętami domowymi. Wsiedliśmy do darmowego pociągu do Lwowa. Z każdą minutą wchodziło coraz więcej ludzi, nie było już miejsc, odjazd się opóźniał, bo chętnych było jeszcze dużo. Zaczęli umieszczać po dwie, trzy osoby na jednym miejscu, z każdą minutą napięcie rosło, słychać było kłótnie ludzi, płacz dzieci, szczekanie psów. Kiedy wreszcie ruszyliśmy, pociąg był opóźniony o dwie godziny, a ludzie siedzieli nawet w przejściach na walizkach. Moje serce było rozdarte na kawałki z rozpacz i strachu przed opuszczeniem swojego domu i swojego kraju. Pociąg jechał szybko, tylko miejscami, gdzie rozlegały się wybuchy, bardzo zwalniał, a światła we wszystkich wagonach były wtedy wyłączane. Droga była ciężka i długa, ciało było obolałe i zdrętwiałe, ale było tak ciasno, że nie można było się ruszyć, ani zmienić pozycji. Dziecko spało w moich ramionach, mój sen rozwiewały tysiące myśli – przekonywałam samą siebie, że robię wszystko dla dobra córki, dla jej bezpieczeństwa. Do Lwowa dotarliśmy po dwóch dniach. Niektórzy opuścili dworzec, inni – w tym ja – postanowili jechać dalej, obojętnie dokąd, byle wyjechać z Ukrainy.

Na peronie zaopiekowali się nami wolontariusze, dali nam wodę, kanapki i podstawowe artykuły pierwszej potrzeby oraz powiedzieli, jak najlepiej dostać się do granicy.

Póki co była noc. Trudno było znaleźć miejsce na nocleg, bo popyt był duży, przez to cena dość wysoka. Niestety, miałam mało pieniędzy, czekaliśmy więc w przejściu podziemnym. Gdy ogłoszono, że wjechał pociąg idący do samej granicy, zrobiła się bardzo długa kolejka. Ludzie jak w amoku przepychali się i walczyli, żeby dostać się do środka. Policjanci i konduktor pociągu wypuszczali po 10 osób z przejścia podziemnego na peron, sprawdzali dokumenty i wpuszczali do wagonu. Kiedy wszystkie były już prawie pełne, rozpoczął się nalot, zawyła syrena i rozległy się wybuchy w pobliżu stacji. Wszystkich siedzących już na swoich miejscach, ewakuowano ponownie do przejścia podziemnego. Wśród ludzi znowu zapanował strach i panika. Dzieci płakały. Mnie samej też trudno było powstrzymać emocje. Po zakończonym ostrzale rakietowym wszyscy ponownie zostaliśmy wprowadzeni do wagonów. Pociąg ruszył. Dojechaliśmy do granicy, znowu kolejka – straż graniczna sprawdzała dokumenty. Ale wszyscy pracownicy byli sympatyczni i pomocni, a wolontariusze rozdawali soki, cukierki, zabawki, żywność, środki higieniczne i pomagali w potrzebie.

Długo zastanawialiśmy się, dokąd pojechać i gdzie się zatrzymać. Szukałam takiego miejsca, gdzie byłaby praca. Niewiele było jednak ofert pracy, w których zatrudniano kobiety z dziećmi. Na szczęście mama mojego przyjaciela przypomniała sobie, że jej chrześniak mieszka w Świebodzinie i zadzwoniła do niego. Bez zastanowienia zgodził się po nas przyjechać. Jechaliśmy 12 godzin do Świebodzina, wszyscy byli wykończeni. Po przyjeździe, o trzeciej nad ranem, powitano nas i zaprowadzono do mieszkania, w którym mieliśmy mieszkać za darmo przez dwa miesiące. Cieszyłam się, że w końcu gdzieś się zatrzymaliśmy i mieliśmy dach nad głową oraz możliwość wzięcia prysznica i spania. Rano wszyscy dzwoniłszy do krewnych, pytając, co się dzieje w domu – tam sytuacja tylko się pogarszała. Następnie załatwialiśmy dokumenty, jeździliśmy po całym mieście, by dostać jakąś odzież, jakieś pieniądze. Podano nam, gdzie się udać po pomoc humanitarną. Ponieważ w mieście nie było transportu publicznego, musiałam wszędzie chodzić pieszo i często nosić dziecko na rękach, bo odległości były duże. W dodatku pomoc humanitarna była na drugim końcu miasta, w stosunku do naszego domu. Nie zawsze chodziłam po pomoc, bo z dzieckiem trudno było to zrobić. Wszyscy, którzy razem wyjechaliśmy z Ukrainy, mieszkaliśmy razem. Niektórym nie podobało się to, że nie zawsze szłam po pomoc. Zaczęły się kłótnie.

Chociaż jestem po dyplomie medycznym trudno znaleźć pracę w zawodzie – dyplom musi być przetłumaczony, a do tego wszystkie niezbędne dokumenty sporządzone po polsku, musiałam więc podjąć jakąkolwiek pracę. Rozpoczęłam pracę w Zalando. Zaczęliśmy pracować na dwie zmiany, żeby dzieci były zawsze z dorosłymi. Praca nie była ciężka – trzeba było sprawdzać odzież pod kątem wad i pakować – ale godzin pracy było mało. Musieliśmy zrezygnować. Zaproponowano nam sprzątanie nowo wybudowanych mieszkań. Na początku wszyscy pracowaliśmy w pobliżu miejsca, gdzie mieszkaliśmy, później niektórzy musieli wyjeżdżać za miasto. Ponieważ byłam z małym dzieckiem, sprzątałam w pobliżu, żebym mogła zabierać do pracy córkę. Rozkładałam jej ręcznik na podłodze, tam bawiła się i oglądała bajki, a ja sprzątałam. Ale po pewnym czasie reszta naszej ekipy zaczęła narzekać, że cały czas pracuję w pobliżu domu, gdy tymczasem oni muszą wyjeżdżać za miasto. Gdy otrzymałam PESEL, załatwiłam córcie pójście do przedszkola, ale i tak dochodziło do kłótni. Musiałam zrezygnować z pracy w tym zespole. Właściciel mieszkania zaproponował mi pracę na budowie, nie miałam innego wyjścia jak się zgodzić. Pracowałam ciężko, na równi z mężczyznami, palce miałam starte do krwi. Dużo wtedy płakałam, nie mogłam pogodzić się z tym, że muszę pracować tak ciężko, żeby zarobić na utrzymanie dziecka.

Mieszkańcy naszego bloku – Polacy – byli wyrozumiali i sympatyczni. W sąsiedniej klatce naszego domu mieszkała pani, która zaproponowała umycie okien za opłatą, a potem poprosiła o posprzątanie całego mieszkania. Z moimi współlokatorkami, niestety, nie dogadywałam się – były kłótnie i wyzwiska, a że nie ja znalazłam to mieszkanie, więc moja najlepsza przyjaciółka i jej mama wyrzuciły mnie z niego. Zamknęłam się w sobie – nie mogłam uwierzyć, że moja bliska przyjaciółka robi mi to w obcym dla mnie kraju, w czasie, gdy w Ukrainie trwa wojna, po tym, jak ja udzielałam schronienia jej rodzinie w domu mojej matki. Byłam tak wyczerpana emocjonalnie, że nie miałam ani ochoty, ani siły na spacer z dzieckiem.

W końcu postanowiłam poszukać innego lokum, w innej miejscowości. Razem z córką i siostrą męża przeprowadziliśmy się do wsi, gdzie mieszkała matka mojego męża, będąca od kilku lat w związku z Polakiem. Zatrzymaliśmy się u nich na tydzień, pomogli nam finansowo i moralnie. Oddałam córkę do przedszkola. Teściowa podpowiedziała, że jest praca w zakładzie mięsnym. Udało nam się też znaleźć dom, do którego się przeprowadziliśmy.

Wynajęliśmy ze szwagierką dom za 1550 zł, ale miałyśmy dodatkowo kupić drewno do jego ogrzewania. Dobrzy ludzie przywieźli nam dużo drewna za darmo – wystarczyło na całą zimę!



Pani, od której wynajmowaliśmy dom, zaproponowała nam złożenie wniosku o pomoc i powiedziała, że gdy ją otrzyma, odda nam część środków. Pozostało tylko czekać.

Poszliśmy do pracy w zakładzie mięsnym, chociaż nie miałem pojęcia, co tam się robi. Na początku pracowałyśmy ze szwagierką na zmianę, żeby móc odebrać dziecko z przedszkola. Potem zaczęły się problemy z grafiką pracy – trzeba było pracować więcej godzin dziennie, nie zdążyłybyśmy odbierać dziecka z przedszkola. Postanowiłam negocjować z dyrekcją, zgodzili się, bym pracowała mniej. Pojawił się kolejny problem – córka zaczęła chorować. Większość współpracowników rozumiała to, ale byli też tacy, którym przeszkadzało, że pracuję osiem godzin a nie dwanaście. Byli i tacy, którzy po prostu gardzili mną i szykanowali mnie za to, że nie mówię po polsku, ale to już zupełnie inna sprawa. Praca w zakładzie związana była z noszeniem ciężkich pojemników z mięsem lub układaniem tego mięsa na tackach. W halach było bardzo zimno, ciągle marzłam, mimo że miałam na sobie wiele warstw ciepłych ubrań. Z czasem mój organizm zaczął szwankować, coraz częściej chorowałam. Tak naprawdę to – ze względu na poprzednie operacje – nie wolno mi było podnosić ciężarów. W efekcie trafiłam do szpitala. Kierownictwo nie było zadowolone z mojego trzytygodniowego zwolnienia lekarskiego, ale mimo to utrzymali mi miejsce i możliwość pracy.

Gdy przyszedł czas opłacenia mieszkania, zaniostałam pieniądze właścicielce. Powiedziała, że otrzymała pomoc, więc od miesięcznej opłaty odliczy 500 zł. Byłam jej bardzo wdzięczna, bo liczyłam wtedy każdy grosz. Zgodnie z umową o pracę zwolnienie chorobowe nie było płatne, a ja byłam na zwolnieniu lekarskim trzy tygodnie! Moi polscy znajomi zaproponowali, żebym skontaktowała się z miejscowym urzędem gminy. Odsyłano mnie od biura do biura. W jednym powiedzieli, że może uda mi się uzyskać pomoc, ale muszę znać wyliczenie wynagrodzenia za drugi miesiąc pracy. Moja pensja niestety była nieco wyższa niż przyjęte kryteria, więc odmówiono mi pomocy. Jednocześnie skierowano mnie do biura kierowniczk. Towarzyszył mi znajomy Polak, bo nie umiałam swobodnie porozumiewać się po polsku. Okazało się, że ci ludzie się znają. Pani kierownik sprawdziła w systemie, jaką pomoc już otrzymałam – okazało się, że pani, od której wynajmowaliśmy dom, otrzymała 7300 zł za mnie, moją córkę oraz siostrę męża. Dowiedziałam się, że skoro właścicielka otrzymała za nas taką kwotę, to powinna zapewnić nam trzy miesiące darmowego zakwaterowania i wyżywienia. Byłam zszokowana tym, co usłyszałam! Po powrocie do domu zadzwoniłam do właścicielki – powiedziałam, że wszystko wiem. Była bardzo zła i bardzo niezadowolona z tego,

że pojechałam do gminy. Przez kilka dni nie mogliśmy dojść do porozumienia. Pomogła pani z gminy – udało nam się dogadać na trzy miesiące darmowego zakwaterowania.

W tej sytuacji najbardziej zabołało mnie to, że ludzie, którzy wiedzą, że uciekam przed wojną, aby ratować dziecko, którzy wiedzą, że i ono, i ja często chorowaliśmy, potrafią bez skrpułów czerpać korzyści z cudzego nieszczęścia. Cieszy jednak fakt, że większość Polaków nadal nas wspiera, pomaga i jest przy nas w trudnych chwilach.

Krótko po powrocie do pracy okazało się, że zakład zmniejsza produkcję i redukuje etaty. Dostałam wypowiedzenie. Po tej wiadomości znowu ręce opadły – jak żyć dalej?

Nie miałam siły na przeprowadzkę do innego miasta, na szukanie nowej pracy, nowego przedszkola dla dziecka. Nie miałam pieniędzy na wynajem nowego domu, a tu przecież zostało mi jeszcze kilka miesięcy darmowego mieszkania. A do tego ludzie, których poznałam, stali się już dla mnie drugą rodziną.

Znowu pomogli dobrzy ludzie – zaproponowali pracę na pół etatu, a ja chętnie się zgodziłam. Zaczęłam sprzątać domy znajomych, piec ciasta i ciastka na święta. Wszyscy wspierali mnie jak tylko mogli, nie dawali się załamać, pomogli pokonać trudności. Nadal szukam stałej pracy, ale wierzę, że na pewno ją znajdę.

Moja historia podobna jest do historii innych wojennych kobiet – codziennie pokonujemy wiele trudności dla bezpieczeństwa swoich dzieci. Jednak my, Ukraińcy, jesteśmy silnym narodem i wszystko zniesiemy. W ciągu tego roku moje życie podzieliło się na przed i po, a Polacy wyciągnęli pomocną dłoń i umożliwili dalsze życie, w którym moje dziecko nie będzie słyszało wybuchów, syren, a co najważniejsze, będzie żyło. Bo nasze dzieci to nasza przyszłość.

# Oleksandra

## Minął rok



Był luty 2022 roku. W powietrzu krążyły pogłoski o wojnie, ale mało kto w nie wierzył. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do ciszy i spokoju, że nie wyobrażaliśmy sobie, że wojna przyjdzie do naszych domów. Niestety nadeszła, 24 lutego, bardzo wczesnym rankiem. Całe miasto zadrżało od eksplozji, rozbłyły okna, zaspani ludzie patrzyli w ciemność i nie mogli zrozumieć, co się dzieje. W każdym domu tliła się nadzieja na pomyłkę i wiara, że to koszmarny sen, który zniknie o poranku. Ale pomyłki nie było – wojna zaczęła się: wybuchy, drony nad głowami, bombowce przelatujące nad dachami budynków mieszkalnych, czołgi i pojazdy wojskowe w mieście, jeże przeciwczołgowe i blokady dróg na ulicach, godzina policyjna, przerwy w dostawie prądu i lawina telefonów do krewnych, przyjaciół, znajomych do różnych miast i miasteczek w kraju. Hałaśliwe, pracujące, zatłoczone miasto zastygło w oczekiwaniu. Wszystko zamarło. Zatrzymał się transport miejski, po mieście przemieszczały się tłumy pieszych. Zamknięto banki, urzędy pocztowe, sklepy niespożywcze, większość instytucji. Niespokojne podniecenie zostało zastąpione poczuciem beznadziei. Ludzie mówili cicho i mało. A kiedy już rozmawiali, temat był ten sam: wojna.

Kilometrowe kolejki smutnie wiły się w pobliżu wszelkich otwartych sklepów spożywczych, których półki uderzały w oczy niezwykłą pustką. Często, gdy doszedłeś do lady, nie było już nic do kupienia. Chleb sprzedawano na ulicy, prosto z samochodów. Nie działały bazyry, fryzjerzy, gabinety dentystyczne, biura podróży i urzędy. Nic, co było związane z normalnym, spokojnym życiem, nie działało. A jednocześnie narodziło się nowe życie, w nowej rzeczywistości.

Wszyscy chcieli żyć, ale chcieli też, żeby było jak dawniej. Wszystko, co pozwalało wrócić do tego niedawnego normalnego życia, wydawało się to jakimś cudem. Mnie też przydarzył się taki cud: biegłam pod ostrzałem do mojej przyjaciółki, która mieszka w innej części miasta, aby dać jej chleb i zobaczyłam, że podjeżdża samochód, a jego właściciel wyjmując z niego skrzynki z kwiatami: świeżo cięte tulipany, goździki, lilie, róże. I zaczyna je tak po prostu rozdawać! Może wyjeżdżał na dobre z miasta? A może nie było już popytu na taki produkt? Chętnych na kwiaty było bardzo dużo. Ludzie poprzez kwiaty chcieli dotknąć tego dawnego życia. Wzięłam też ogromny bukiet i niosłam go, delikatnie osłaniając przed wiatrem i nie bojąc się ostrzału. W domu te kwiaty przez długi czas stwarzały przytulną atmosferę i namiastkę dawnego dobrego życia. Do dziś jestem wdzięczna za tę chwilę, za taki dar dla duszy!

W tym samym czasie ulice dzwoniły i dyszały śmiercią, strachem, przerażały pustymi oknami z powiewającymi na wietrze firankami, połamanymi balkonami, wielkimi, czarnymi, zwęglonymi dziurami po pociskach i gruzem zniszczonych, porzuconych domów.

Dla wielu na długi czas domem stały się metro i piwnice. Po godzinie policyjnej ulice wymierały, okna były pozamykane z powodu zaciemnienia. Noc zamieniała korytarze mieszkań w poczekalnie przed nalotami. Spało się tam w ubraniach i ze spakowanymi walizkami najpotrzebniejszych rzeczy na wypadek, gdyby w dom trafił pocisk – wszyscy mieliśmy nadzieję, że jakby co, to zdążymy uciec. Życie podzielone zostało na przed i po...

Zaczęły się problemy z prądem, więc też z komunikacją, ogrzewaniem, wodą. Życie ludzi starszych, którzy nie mogli lub bali się wychodzić z domów, było zagrożone śmiercią głodową. Psy i koty porzucone przez zmarłych właścicieli, rozdzierały serce swoją bezużytecznością.

Ludzie dalej istnieli i jakoś funkcjonowali, chodzili pod ostrzałem do pracy, ale życie zgasło w ich oczach, a w sercach zagościł ból, strach i rozpacz. Zgasła nadzieja na szybki pokój, pojawiły się gniew i nienawiść, które narastały z każdym rosyjskim strzałem. Samochody, autobusy, pociągi pełne uciekających ludzi, niekończącą się falą gnały na zachód. Nie wszystkim udało się dotrzeć żywymi do granicy....

Potem przez wiele dni na granicy stały niekończące się tłumy ludzi. Nieważne do jakiego kraju docierali – byle nie było wojny, huku lecących i wybuchających pocisków, płaczu dzieci ze strachu, drżenia rąk i serca wyskakującego z piersi po kolejnym nalocie.

Każdy, przekraczając granicę, oddychał z ulgą. Ulgą była jednak chwilowa, bo bardzo szybko ludzie zaczęli rozumieć, że zaczyna się trudne życie w obcym kraju. Jak jesienne liście z drzew, ludzie „spadali ze swoich domów”. Wiatr wojny porozwiewał ich po wszystkich krajach świata.

Wielu, tak jak my, zostało w Polsce, kraju przyjaznym, otwartym dla wszystkich. Wydawałoby się, że wszystko jest w porządku, byliśmy bezpieczni, ale nie czuliśmy się jak w domu. Tyle rzeczy było innych... Nie rozumieliśmy języka, myliliśmy ulice, nazwiska, poszliśmy złą drogą, niektórych denerwowaliśmy, nie mogliśmy znaleźć pracy. Często bardzo chciałam wrócić, tam, gdzie wprawdzie wojna, ale gdzie zostały nasze korzenie, gdzie pachnie domem.

Przeszliśmy wszystkie etapy – zaprzeczenie, depresja, żyz, akceptacja...

Minął rok. Był to rok niewiarygodnie gorzkich łez – tych wylanych i tych niewypłakanych, rok zachwianej psychiki dorosłych i dzieci, niepowetowanych strat bliskich i przyjaciół, bolesnych rozłamów w rodzinach z powodu polityki i wyjazdów do różnych krajów, rok niekontrolowanych wybuchów wrogości i nienawiści, walki o przetrwanie, ponownej oceny ludzi i relacji z nimi, rewizji wartości życiowych.

A jednocześnie był to rok niezwyklej ludzkiej życzliwości, zrozumienia, przyjacielskiego współuczestnictwa, wsparcia i ciepła, wzajemnej pomocy, wrażliwości i poświęcenia, współczucia i miłości. W tym roku staliśmy się, niezależnie od tego, gdzie mieszkamy, jednością, całością, jednym krajem.

Razem wspieraliśmy rannych i słabych, kochaliśmy i chroniliśmy dzieci własne i cudze, ratowaliśmy zwierzęta i płakaliśmy nad nimi, dzieliliśmy się wszystkim, co mieliśmy. Wraz z całym światem słuchaliśmy wiadomości i raportów z frontu, byliśmy (i pozostajemy) sercem i duszą ze wszystkimi naszymi zranionymi miastami, opłakiwaliśmy wszystkich zmarłych i nienawidziliśmy Rosji śmiertelną nienawiścią, pragnąc, aby całkowicie zniknęła z powierzchni ziemi.

Gratulowaliśmy sobie każdego, nawet najmniejszego, zwycięstwa naszych wojowników. Byliśmy z nich dumni. Ze wstydem piętnowaliśmy zdrajców i złodziei. Wspieraliśmy naszego Prezydenta, kłóciliśmy się nieprzyzwoicie, broniąc swojego kraju na portalach społecznościowych, stawialiśmy się na pikietach wspierających Ukrainę, szczerze wierząc w zwycięstwo dobra, w zwycięstwo Ukrainy.

Bo Ona jest naszym bólem, naszym życiem, naszą przyszłością, naszą Ojczyzną. Tęsknoty za nią nie sposób – jak mówimy w Ukrainie – ani zajeść, ani zapić, nawet będąc w spokojnej, bezpiecznej Polsce, która przez cały rok starała się rozgrzać nasze serca i tchnąć w nas życie.

Zwykli Polacy otworzyli dla nas nie tylko drzwi swoich domów, ale także serca pełne miłości. Otoczyli nas życzliwością, współczuciem i troską, dali poczucie rodziny, która przyjdzie z pomocą w każdej sytuacji, bez względu na czas i pieniądze.

Poznaliśmy tylu wspaniałych ludzi, tyle pokrewnych dusz, które całkowicie bezinteresownie obdarzyły nas swoją miłością i miłosierdziem, cierpliwie uczyły nas języka polskiego, dzieliły się poradami życiowymi i nie tylko. Polacy wspierali nas moralnie, płakali razem z nami, cieszyli się z naszych małych sukcesów, robili wszystko, abyśmy czuli się jak w domu. Tych uśmiechów i dowodów sympatii, które otrzymaliśmy w Polsce, nie da się niczym zmierzyć.

Niech ta wojna skończy się jak najszybciej, abyśmy mogli zaprosić wszystkich Polaków i wolontariuszy do nas i poczęstować naszym ukraińskim barszczem, ukraińskimi pierogami i naleśnikami oraz pokazać im nasze ulubione miejsca na Ukrainie!

Kłaniamy się nisko Polsce. Wdzięczni Ukraińcy!

Chwała Ukrainie, chwała Polsce!